

Sokrat Janowicz

**TERRA INCOGNITA:
BIAŁORUŚ**

KAMUNIKAT.org

**TERRA INCOGNITA:
BIAŁORUŚ**

KAMUNIKAT.ORG

Sokrat Janowicz

**TERRA INCOGNITA:
BIAŁORUŚ**

Białystok, 1993

Redaktor
Witalis Łuba

Korektor
Mirosława Łuksza

Układ typograficzny
Aleksander Maksymiuk

Druk
“Orthdruk”, ul. Składowa 9, Białystok

Copyright © 1993 by Праграмная Рада Тыднёвіка “Ніва”

*Publikacja sponsorowana przez Ministerstwo Kultury i Sztuki
Rzeczypospolitej Polskiej.*

TERRA INCOGNITA

Białoruś. Co czyta o niej Jaś i co będzie potem wiedział Jan? Dokładnie nic, niczym o Papuasach w Nowej Gwinei... Najogólniej mówiąc, jest to zasługa rosyjskiego imperializmu i polskiego etnocentryzmu. Wina w tym też i samych Białorusinów, którzy zamiast mieć to już dawno za sobą, dopiero teraz wybijają się na własne państwo, wychodzą na postrzegany horyzont. Nie jest to bowiem naród ledwie wykluwający się w Europie ojczyzn, lecz aż z tysiącletnią przeszłością i ze swym Złotym Wiekiem za Wielkiego Księstwa Litewskiego. Twórca jednego z pierwszych w dziejach kontynentu kodeksu praw, wzorcowego także dla Polaków i Prus z Brandenburgią.

Biała Ruś, a wedle źródeł łacińskich — przypomnijmy to sobie — Alba Russia, poczęła się, jak wiemy to z całą pewnością, w epoce rówieśnej Polsce, nie później aniżeli w 980 roku. Pod tą datą notują kroniki pożogę podboju Ziemi Połockiej przez Włodzimierza z Nowogrodu, niebawem księcia na Kijowie, władcy zwanego Wielkim. Ów Połock na Dźwinie istnieje do dziś jako miasto powiatowe, mniej więcej wielkości Gniezna, kolebki państwa polskiego. Wówczas jednak — nie był głuchą prowincją, zagubioną pośród bezbrzeżnych puszczy, ale znaczącą metropolią z wyjściem ku Morzu Bałtyckiemu w okolu obecnej Rygi. Statki połockie zawijały do portów położonych nad Morzem Północnym, o czym znajdujemy — co prawda dosyć niejasne — wzmianki w średniowiecznych annałach; natomiast z całą pewnością wiemy, iż trwał ożywiony handel z Pomorzanami i potężnym Wolinem. Chrzt Rusi, to oczywiście głośna feta Włodzimierza Wielkiego, zaliczonego następnie do szeregu świętych wschodnich. Samo chrześcijaństwo przenikało tu i dalej grubo wcześniej, naturalnie. Archeolodzy domniemują ostatnio, że we włościach suwerenów połockich pierwiej jednakowoż pojawił się

był obrządek rzymskokatolicki, czemu nie należy się specjalnie dziwić. Ziemia Połocka — w odróżnieniu od Kijowskiej — była przecież stale zwrócona w stronę akwenu Bałtyku (przy okazji zaakcentuję raz jeszcze zakorzenie się w literaturze historycznej dokuczliwego falsyfikatu nazewniczego: tzw. Rus Kijowska jest terminem wymyślonym przez naukowców carskich, nigdy nie notowanym w autentycznych dokumentach).

Najciekawiej kształtują się poglądy badaczy na etniczną genezę Białorusinów, co jest w dużej mierze spowodowane wciąż utrzymującą się słabością bazy naukowej w tej problematyce. Jak na razie nie ulega wątpliwości tylko to, że na naród ten złożyły się substraty trzech etnosów plemiennych — Krywiczów, Drehowiczów, Radymiczów. Jeśli idzie o tych ostatnich, usadowili się oni na terenie odnoszącym się w przybliżeniu do Homelszczyzny; nowością w odkryciach jest stwierdzenie, że element drehowicki, mając niejako za podstawę środkowe Polesie, sięgnął południowych rubieży Połoczczyzny, jednoznacznie krywickiej. Za najstarsze zaś siedziby Słowian nadal uważa się dorzecza Wisły i — wężiej — Odry, czyli obszar w orientacyjnym zarysie od wschodniego Połabia do poleskich trzęsawisk i przykarpackiego Pobuża. Nie bardzo wiadomo, skąd oni napłynęli w te dziedziny, po cofnięciu się stąd Celtów, zmierzających ku dogodniejszym krainom przyalpejskim. Im głębiej zapuszczamy się w pomrokę minionych wieków i tysiącleci, tym mniej pewności i więcej hipotez. Skazani jesteśmy na niekończące się odczytywanie ochłapów frazeologicznych u starożytnych autorów, których zainteresowanie dziką i chłodną północą za Dunajem miało nader marginalny albo wręcz przypadkowy charakter. Od czasu do czasu wzmiankowali, i tyle.

Zrozumiała dla naszej wiedzy Wędrówka Ludów rozruszała w VI i VII stuleciach również żywioł słowiański, który jął rozprzestrzeniać się w kierunkach bałkańskim i stepów czarnomorskich, ku greckim koloniom. Szczególnie zdałem sobie z tego sprawę, przebywając czas jakiś w Alpach Julijskich, gdzie

zachował się miejscami konserwatywny biologicznie typ Słoweńca jako żywo kojarzący mi się z posturą mieszkańców poleskiej głuszy. Uderzająca była rasowa z nimi identyczność, także mentalna, co zaskoczyło mnie. Ową chronologię rozpleniania się Słowiańszczyzny potwierdza kolejność zaniku Scytów irańskich, uchodzących w skaliste doliny środka Kaukazu, i kurczenia się strefy ugrofińskiej. Widocznie odszczep Drehowiczów — Druguwiti — osiadł w Macedonii, dając nam świętych braci sołuńskich, cyrylometodiański alfabet i liturgię. Podług językoznawców Krywicze zaś musieli wychynąć gdzieś z przyłużyckiego Zaodrza. Zaszli oni równie daleko, kończąc swą wielowiekową wędrówkę aż nad Morzem Białym, prac uprzednio szerokim pasem na Zaniemnie ku Dźwinie i źródłom Wołgi. Zostało po nich mnóstwo toponimików, z których specjalnie wymienię tutaj Wilno, u swych prapoczątków noszące miano — Krywahoradzień, czyli gród Krywiczów. Osobną uwagę zwracają na siebie Radymicze vel Radzimicze, stosunkowo nieliczni. Etnografowie dziewiętnastowieczni są jednogłośni co do wyraźnie zachodnio-słowiańskiego ich rodowodu; przybyli w te strony bowiem najpóźniej, kiedy Słowianie już rozpadli się definitywnie na znane dzisiaj trzy grupy etniczno-językowe, a w konsekwencji i narodowe w drugim tysiącleciu po Chrystusie.

Aktualnie mamy do czynienia z trzema teoriami, wyjaśniającymi wytworzenie się etnosu białoruskiego. Najstarsza z nich utrzymuje, że doszło do tego w wyniku sławizacji Bałtów, zdominowanych demograficznie na tym areale, tj. praprzodków dwudziestowiecznych Litwinów. Następna, trochę amatorsko skonstruowana, aczkolwiek z frapującymi dowodami, wskazuje na równorzędnie ważny w tym procesie komponent ugrojski, który także podkreślał w swych pracach znakomity Jan Czekanowski, analizując w książce "Człowiek w czasie i przestrzeni" enklawy nienordyckie na Żmudzi i w najbliższych doń regionach. I natykamy się na całkiem świeżej dacie, rozbudowaną i wielce uprawnioną na poważne traktowanie hipotezę, iż Białorusini są po

prostu zasymilowanymi Bałtami z antropologicznie marginalną domieszką słowiańską.

Zatrzymajmy się zatem na wspólnym mianowniku przedstawionych twierdzeń, jako że każde z nich zasadza się na niekwestionowanym przez nikogo fakcie wchłonięcia kulturowego aborygenów przez przybyszy.

Przed przyjściem tu Słowian nie były to terytoria bezludne. Pierwotne hordy myśliwców ugryjskich zostały wyparte lub naturalizowane cywilizacyjnie przez silniej rozwinięte związki plemienne Bałtów, przesuujące się gdzieś z dorzecza Oki. Uprawały już one gospodarkę pasterską oraz wypalały lasy dla potrzeb prymitywnego rolnictwa. Do niedawna sądzono, iż zetknięcie się Bałtów z jeszcze wyżej stojącymi odciami Słowianami przebiegało bezkonfliktowo, w aurze jak gdyby lekceważącego poklepywania Piętaszka przez mądrego kolonialistę europejskiego... Okazało się jednak, że nic z tych rzeczy: strzelano do siebie z łuków wcale gęsto i często. Prowadzone wykopaliska na wczesno-średniowiecznych grodziskach pobałtyjskich, np. w Nadnieprzu mohylewskim świadczą, że krew się lała i buszowała rzeź wojenna. Ziemia Połocka nadymała się w swej mocarności bynajmniej nie pokojowo. Jej zabiegi na polu politycznym póki co finalizowały się założeniem odrębnego biskupstwa (992 r.).

W rekonstrukcji takiego rozwoju wypadków nie znajduje sprzeczności Siarhiej Sańka, najwybitniejszy zwolennik poglądów na całkowitą bałtyjskość Białorusinów. Jest on zdania, iż protomiejskie osady rozrastały się w znaczące ośrodki handlu i rzemiosła wskutek wlewania się do nich mobilnego komponentu słowiańskiego, dzięki któremu podłączały się one do rozległej tym czasem infrastruktury gospodarczej na najbliższym orienście zabużańskim. Obok słynnego szlaku "z Waregów w Greki" funkcjonował wszakże od niepamiętnych pokoleń inny, z Przyczarnomorza na zachód, zahaczający swą peryferyjną odnogą o Wołyń, Brześć i Drohiczyn (skarby z monet arabskich). Na

przełomie 1. i 2. tysiącleci naszej ery kończy się ów bałtyjski etap, pod oddziaływaniem głębokich przemian, jakie zachodziły w ekonomice, polityce i ideologii u większości społeczeństw na słowiańskim wschodzie. Wyczerpuje się wreszcie ustrój rodowoplemienny, powstają struktury państwowe, rodzi się feudalizm. Miasta promieniują kulturalnością i bogactwami, integrując tym samym w jedną ekumenę. Duchowo unifikuje interior krzepnące w nich chrześcijaństwo; słowiańszczyzna poczyną być odbierana w prowincji jako swego rodzaju lingua franca, za pośrednictwem której coraz swobodniej porozumiewano się w kontaktach międzyetnicznych. O przyszłości cywilizacji rozstrzyga nie busz i cuchnące barbarzyństwo, lecz wybrukowany rynek w otocze zasobnych kamienic z warsztatami i magazynami na zapleczu. Miasta, a nie bezdroża pustek.

Omawiana sławizacja marudziła się przypuszczalnie ponad pięćset lat, stając się nieodwracalną dopiero w przededniu przejmowania przez kniazia Jakuba Jagiełłę korony polskiej.

Warto pamiętać zarazem i o tym, że w stosunkach wewnątrzsłowiańskich naówczas nie było barier lingwistycznych; języki wyodrębniły się nie wcześniej jak w przeciągu trzynastego stulecia (np. przegłos polski). Chrobry, wkraczający do niebronionego Kijowa czy wyrzynający upartą Pragę, nie potrzebował tłumaczy. Granice błyskawicznie rozszerzały się i gwałtownie kurczyły w zależności od zwycięstw drużyny zbrojnych przy monarchu; Czesi urzędowali, bywało, i na Mazowszu, dopóki nie wybroniły się ostatecznie sąsiadujące ze sobą potęgi. Grano tę samą sztukę, tylko z miejscową obsadą, gorszą czy lepszą, na obszerniejszej czy ciasnej scenie. Wczesne Średniowiecze bezdyskusyjnie poświadcza, że najpierw przychodziło na świat państwo, i to ono katalizowało wspólnotę językowo-narodową z biegiem wieków.

Na tej prawdzie historycznej, która nie wiecieć czemu ciągle nie jest dla nas banalną, opierają swe odkrycia stronnicy owej teorii słowiano-bałto-ugryjskiego pochodzenia Białorusinów.

Zacząto budować ją niedawno i raczej przez przypadek. Naukowcy właśnie nie mogą dojść etymologii samej nazwy Litwy. Łamigłówkę nie do zgryzienia mają też z Białą Rusią (Polska wywodzi się wprost od Polan, to łatwe). A zresztą, kto wie, co znaczy rzeczownik imienny Ruś? Płatawicy przybyło wraz z ukształtowaniem się w dobie Władysława Łokietka nie słyszanego drzewiej Wielkiego Księstwa Litewskiego, na bazie znanej grubo przedtem Ziemi Połockiej. I co dziwniejsze, centrum nowotworu okazał się być Nawaharodak (Nowogródek), który dotychczas z ledwością dawał sobie rady z pozbywaniem się zakusów nań ze strony posiłkowanej przez Tatarów Rusi Halickiej. Chodząc wokół tego tematu, mole książkowe natrafiły na wiarygodny przekaz, iż król Jagiełło, już Władysław II po przechrzczeniu się, kiedy czuł potrzebę konfidencjonalnego zasygnalizowania kniaziewi Witoldowi w tłumie dworaków jakiejś wskazówki, używał nigdzie nie spotykanej tutaj mowy (choć nieobce mu było nawet narzecze żmudzkie). Zachodzono w głowę, co to takiego mogło być!? Szyfr, owszem, ale czy szyfr miewa gramatykę?..

Kłębek rozmotano jak gdyby... Słowo “litwa”, nie poddające się egzegezie z pomocą słowników kowieńskich i ryskich, niespodzianie zrobiło się czytelne na podstawie dykcjonarza zawołańskich Permiaków, ugryskiej skamieliny w dolinie Uralu, w leksyce której pełno archaizmów, niczym prasłowianizmów u Kaszubów. Otóż “lit” oznacza u nich liczebnik: pięć, zaś “wa”, to tyle, co — woda, rzeka. Nie od dzisiaj wiadomo, że Moskwa posiada bezsprzecznie fińskie brzmienie: Mosk — wa, czyli Ciemna Rzeka. Litwa natomiast winna przekładać się jako Pięciorzeczce. Czemu by nie, skoro widnieje na mapie Indii, dajmy na to, stan Pendżab, to jest “pendź” — pięć, “ab” — rzeka.

Cała ta, nieco przydługa kwestia jest niezmiernie istotna dla czytelnika, dla którego Białoruś — to terra incognita. Ni pies, ni wydra i nie Rosja...?! Polecam na tę okoliczność prace Mikołaja Jermałowicza “Starazytnaja Bielaruś” i “Pa śladach adnaħo mifa”, plonu kilkudziesięciu lat jego dociekań nad początkami Wielkiego

Księstwa Litewskiego. Tak więc — horrendalnym błędem jest dopatrywanie się żywotności tego państwa w ekspansji praojców obecnych Litwinów. Nic podobnego się nie zdarzyło, ówczesne sprawy toczyły się zgoła przeciwnie: Nowogródek anektował Aukstotę ze Żmudzią, przy czym bezwzględnie nad wyraz i krwawo, na grani wręcz ludobójstwa! To Mendog tak się postarał, kondotier z Litwy. Bo ta tajemnicza Litwa rzeczywiście istniała. Wszechstronnie odczytując na nowo odnośne ustępy w latopisach ruskich, powiodło się Jermałowiczowi ze zlokalizowaniem jej w górnym biegu Niemna, w trójkącie Mińsk — Mołodeczno — Nowogródek z odchyłką ku Słonimowi. Sam odkrywca nie twierdzi, że stanowiła ona reliktową enklawę ugrofińską na podobieństwo Kurlandii na pobrzeżu łotewsko-litewskim albo bliżej nie określonej przez Czekanowskiego, pobratymczej Kuronom wyspy etnicznej, długo rozmywanej pośrodku niewielkiej Żmudzi. A byli jeszcze nieprzystawalni do Łotyszów Liwowie, od których ukuto pojęcie geopolityczne Liwonii vel Liflandii alias Inflant w wersji spolszczonej.

Pomimo niejakiej sensacyjności relacjonowanych ustaleń co do etapów rozrostu państwowości starobiałoruskiej, to jednak dojrzewanie fizjonomii etnicznej Białorusinów należy łączyć z bardziej partnerskimi Bałtami, aniżeli z wychodzącymi z epoki kamiennej, na poły myśliwskimi Ugrami. Za słusznością tej tezy przemawia także i to, że te same plemiona słowiańskie, wchodząc na odmienny substrat antropologiczny, transformowały nader różne pochodne wynikowe. Cóż Krywicze, przetrawiwszy podłoże z ugrofińskiej Czudzi, tudzież Karelii, przeistoczyli się w Rosjan; cząstka Drehowiczów nadprypeckich dała efekt ukraiński (nie wnikając już w ich słoweńskie czy macedońskie — iliryjskie — modyfikacje). Wszystkie trzy człony protobiałoruskie musiało cementować — uwaga! — jednorodne podglebie obcoplemienne, tak więc wschodniobałtyjskie. W Polsce, dla analogii, postrzegalnie wyzierają celtyckie starocia nazewnicze i

wykopaliskowe, nierzadko dokładnie pasujące do galijskich, szkockich (frapuje mnie etymologia Kielc, łac. Celtae).

To rozpadające się, od swych narodzin bałaganiarskie imperium Normanów — można przeczytać i taką wypowiedź o tzw. Rusi Kijowskiej w zachodnich opracowaniach. Wracamy na moment do wypraw Olega na Bizancjum, gwałtów Włodzimierza z Nowogrodu na rodzinie Rahvałoda w Połocku, i szeregu bezeceństw mających miejsce między władcami mnogich Rusi. Uważa się za pewnik, że pochodzili oni z Wareskiego Brzegu, jak określano ówczesnie Skandynawię. W tamtejszych sagach zawiera się spory szmat historii wschodniosłowiańskiej, mimo że na matkę chrześną onej predestynuje się ostatnio wyspę Rugię, z jej ponoć starożytnymi obocznościami: *Rusia//Ruś*. Słowiano-germańska ongiś, węzłowa, niczym na miarę Singapuru, służyła za bazę dla łupieżców i wojów. Więc wszelkie draki pomiędzy Nowogrodem, Połockiem, Kijowem są właściwie wewnętrzną sprawą sprawujących tam rządy najemników normańskich? Wzajemnym wyrównywaniem rachunków między nimi, z których każdy prowadził ze sobą bitną zgraję obwieszonych łukami i strzałami ziomków ze skalistej Chrystianii z doszlusowanymi doń zastępami tubylców płowowłosych, wymieszanych z różnego autoramentu autochtonami pierwotnymi? Ba, malownicze to, lecz, niestety, uproszczone.

Rusini z Rugii, rozwlekający swe pierwoimię wzdłuż osi Dniepru, by zasmakować wymarzonych w zimowe zawieje niebiańskich rozkoszy mitycznego Śródziemnomorza już w polisach nad lemanami Barystenesu i błękitem Pontu (starogreckie nazwy Dniepru i Morza Czarnego)? Zbyt tłoczno było na La Manche'u i farwaterze antlantyckim ku gibraltarskiemu ujściu z przeciwległej strony, by dopaść gajów oliwkowych i pomarańczowych Iberii i Kartaginy, zapchanych towarami portów, amfor z winem, hurys w negliżu na tle wiecznej wiosny? Bezlitośnie plądrowano prowincje rzymskie, próbując nawet osiąść w nich, animując okazałe państwka. Ot, Wandale.

Nie byłoby tego, gdyby nie funkcjonował niezawodnie ten sam mechanizm podboju kolonialnego i niezbędnej dla epicentrum gospodarczego eksploatacji surowcowej reszty domniemanego współcześnie świata, co zawsze spiętrza falę powrotną, wreszcie zalewającą metropolię. Niewinne z początku karawany kupieckie po bursztyn bałtycki, galery po pszenicę scytyjską i łodzie ładowne skórami z lodowatych krańców ziemi posiały kompleksy w pokoleniach barbarzyńców. Za którymś nawrotem spirali rozwojowej u nich eksplodowały wędrowki wcale nie turystyczno-poznawcze, aliści zaciekłe gasterbeiterskie, a przy niewolniczym ustroju po prostu zbójcekie. Przecież nie Rzymianie z Grekami w jedwabiach podążali, by skorzystać z nieszczęśliwego, najpewniej głodowego dobrobytu u Germanów i Słowian, lecz odwrotnie. Ta przeraźliwa amplituda poziomów materialnych rozsypała, skorodowała Cesarstwo Rzymskie, nieszczelnie osłaniane przez wieniec gór alpejskich. Rachitycznie trwało Bizancjum z przezroczystą suwerennością, być może dlatego, że do jego złotych bram podchodzili Słowianie akurat, zamiast zdesperowanych Bawarów lubo Gotów... W cztery wieki później nie wydolił Konstantynopol przeciwko Osmanom z piasków Turkmenii. Kobiety ocalały, prawiczki nie.

Nędzarz nie kocha bogacza, Biblia nie notuje takowych przypadków. Chrystianizowani Eskimosi grenlandzcy z niedowierzaniem wysłuchiwali od misjonarzy przypowieści z niej, nie mieściło im się w mózgach, że człowiek człowieka może zabić, a pojęcie oszustwa, szalbierstwa, kradzieży nie docierało do nich zupełnie, nie było w ogóle odpowiednich słów w ich mowie na określenie wymienionych czynów. Ale cóż od nich chcieć? Pierwotniaki nie z tej planety. Duńczyk wśród tych bezgranicznie ufnych ludzi na pewno nie uchodził za kolonizatora-krwiopijcę i bardzo on mi pasuje do cwanego hurtownika z epikurejskich Aten, udającego się z obstawą i na czele flotylli rzecznej do zapontyjskiej głuszy, w puszczańskie pustkowia powyżej grodu Kija... Dzisiaj nazywamy to murzyńskim handlem.

O tym, że historia nie jest zwykłym zbiorem wydarzeń do zapamiętania, wie się chociażby od momentu zastanowienia, co mogło odróżniać Ruś Białą od Czarnej (?). Przynajmniej przeleciawszy się po materiałach źródłowych można ze zdumieniem skonstatować, iż owe przymiotniki przedziwnie nakładały się w dawniejszych epokach na odległe wzajem formacje polityczno-terytorialne. Biali carowie zasiadali nie tylko na tronie kremłowskim po głośniej “smucie” z jej bohaterami Mininem i Pożarskim. Badacze słowiaństwa bałkańskiego dowodzą, że uważano za takowego również Belizariusza, karzełkowatego wodza bizantyjskiego, gromiącego na italskich plażach rudobrodego najeźdźców zza Alp. Rzekomo od Bjeli Car wytworzyła się jednostka leksykalna Bjelicar, co w fonetycznej wymowie helleńskiej zabrzmiało Belisários. W Wielkim Księstwie Litewskim w Złotym Wieku sporządzano dokumenty po rusku, natomiast w sąsiadującej z nimi Rusi Moskiewskiej skrybowano... po białorossyjsku. I w tejsze Dalmacji gadano o Białych Chorwatach, co już podsuwa jakiś trop do domysłów. Czy nie z archiwów watykańskich wynotowany termin Alba Russia należy interpretować szerzej, umiejscawiając go nie w samej jeno Połoczyźnie naddźwińskiej, lecz i w pobliżu nie zniewolonych wtedy przez nikogo ziem Nowogrodu Wielkiego. No a Biały Stok i Czarny Stok, staroimienne rzeczutki okoliczne wielkomiasta białostockiego czymże miały się charakteryzować, jeśli nie stopniem czystości nurtu? Bliskożnacznym to nieubrudzeniem się podległością komukolwiek, zainfekowaniem się ciałem obcym. Po czym --- deszyfrowanie Czarnej Rusi wydaje się być wysoce ułatwione, posłużąwszy się wieściami z ocalałych kronik. Po uśmierzeniu przez Krzyżaków powstań Prusów oraz wyczyszczeniu przez nich z wojowniczych Jaćwięgów pojezierza sudawskiego ich hufce trzebiły ogniem i mieczem włości grodzieńskie i nowogródzkie, też etnicznie pojaćwieskie, zruszczone. W “Grażynie” i gdzie indziej poezjował o tym wojowaniu Adam Mickiewicz... Wybito załogę Mendoga z

Rajgrodu i niemal corocznymi rajzami, po nastaniu czternastego wieku, pustoszone rolnicze opola i wycinano strażnicze gródki na błoniach Narwi, Supraśli, Bobry (Biebrzy), Świsłoczy, Szczary, Niemna... Nieprędko położył tamę temu procederowi starosta Dawyd Haradziński, zięć Gedymina, dając popalić krzyżowcom u siebie i w wyprawach odwetowych do ich warowni. Płądował profilaktycznie on także zaplecze brandenburskie, skąd wracając w roku 1326 został zdradziecko zasztyletowany przez niejakiego Andrzeja, sojuszniczego rycerza z Mazowsza (— przekupiony przez Malbork?). Poprzednio w tym dorzeczu wyżywali się w swych ambicjach zaborczych haliacy pomazańcy Boży. Roilo się od zbiegów z Państwa Zakonnego, czujących się tutaj jak ryba w wodzie, bowiem owe miękkie podbrzusze młodego Księstwa Litewskiego wypełnione było pożywym, dla nabierającej tężyzny białoruskości, substratem bałtyjskim. Dziejąca się tu z wolna Ruś nosiła się w czarnej tonacji. Uczeni zbieracze niuansów w samookreślanii się ludu pańszczyźnianego za cara Mikołaja I wybałuszali się ze zdziwienia, słysząc akces do czarnoruskości aż, hen, na Mińszczyźnie. Oficjalna statystyka Cesarstwa Rosyjskiego podaje, że w Brzeskiem guberni grodzieńskiej i wokół Puszczy Białowieskiej mieszkają zasymilowani Poleksianie z rzucającą się w oczy innością obyczajową i typem nordyka oraz dystansowaniem się wobec językowo jednolitego przecież z nimi otoczenia. Już Wincenty Kadłubek z rozbitego dzielnicowo Królestwa Polskiego wzmiankował był o Polexis za Bugiem, i Jan Długosz, i kijowscy latopisarze. Akademicy petersburscy orzekli: zachodniobałtyjska to resztówka, z praojczyzną na bagnach Łeku (Ełk)... Polesie natomiast, to żadne borowe skojarzenia u praszczurów, jak sądzą nieoświeceni profani sylabizujący Pismo Święte, lecz metamorfoza hydronimów niesłowiańskich Pelesa, Pelysza, co u bliskich Jaćwięgom krewniaków żmudzkich wiązało się z bagniskami, bagiennym lasem. Poleksian onegdaj bano się panicznie i serdecznie nienawidzono ich za lute metody walki, zbytki nad pokonanymi i w ogóle krwiożerstwo. Ulubionym pono

dla nich widowiskiem było uwiązanie jeńca do sosny jelitem z rozplatanego mu brzucha i pędzenie dookoła pnia... Wydelikaceni po klasztorach kronikarze w habitach nie dodawali, rzecz jasna, że nie mniej zabawnie traktowano pojmanych Polexorum, gdy któryś nie wyrobił się w ucieczce z łupem, powiedzmy, z podgrodzia Wizny.

No więc chyba mamy z głowy przymiotnikową etymologię Rusi Czarnej?

Teraz zabierzmy się do nieczytelnego rzeczownika Litwa, jeśli przyjąć zawsze rozsądniejszą postawę wątplącego i nie uznać za dowiedzioną do końca właśnie ugrofińskość zaczątkowego Wielkiemu Księstwu obszaru. Jak i omawiana “białość”, litwiństwo występuje równocześnie wszędzie tam, gdzie postawił stopę poszukujący szczęścia w poantycznym świecie przedbiałoruski Słowianin. Najnowsze, docierające w trakcie komponowania przeze mnie “Terry incognito”, wiadomości z pism naukowych dementują po trosze ów liczebnik “lit: pięć”, kopiąc w głąb przeszłości kontynentu, by dociec prehistorii jego białoruskiego fragmentu. Na półlegendarną Litwę spojrzano inaczej, jako na archaiczną pozostałość klanowości poceltyckiej. W wiekach kończącego się pierwszego tysiąclecia musiała ona zatem być o wiele rozleglejsza, obejmująca Drehowiczów, udających się w swą południkową tułaczkę do Ilirów; także i towarzysząc Krywiczom w ich podążaniu ku połującej i łowiącej ryby nieindoeuropejskiej Czudzi. Ciągłe bałamuci historyków krótkotrwała despotia litewska w Zadunaju, liczne toponimika z rdzeniem “lit” na zachód od pasma frygijskich Bałkanów. Żeby było bardziej niejasno jak gdyby, skrupulatnie dorzuca się do worka niezrozumiałości powszechne stosowanie w mowie potocznej Pskowian i Nowogrodzian przedrosyjskich określenia “litwa”, odnoszącego się do zawodowych wojów do wynajęcia, jak i nożowniczych bójek gminu z pochodnymi odeń przypadkami. Emocjonowano się: — Ale i litwa u nas porobiła się wczoraj!

Zwraca się uwagę na zawężoną onegdaj semantykę formy “ludi: ludzie”, jej poniekąd elitarność w odróżnieniu od “czołowiek”, czyli każdy mężczyzna (baba, to baba). Owi “ludi” prawdopodobnie stanowili ekskluzywne środowisko poszczególnych klanów, oczywiście męskie. W liczbie mnogiej mówiono o nich: “ludstwo”. W myśl oklepanych do znudzenia formułek słowotwórczych z gramatyki historycznej, zmiany morfologiczne następowały zgodnie z prawami redukcji spółgłosek, wypadania ich spomiędzy samogłosek (np. miasto Sokółka na późniejszych mapach WXL figuruje w swym pierwotnym, tj. jako Sokołdka, miescina założona za królowej Bony u źródeł Sokołdy). Prześledźmy to w interesującym nas przemianowaniu się “ludstwa” w “litwa”. Zgęszczenie trzech przedniojęzykowych “-dst-” aż prosiło się o eliminację dwu z nich, tym łacniej, że przed wargowym “w”! Siłą rzeczy doszło do ścieśnienia w “lutwa”. Reszty dokonał znany studentom filologii ikawizm, który szczególnie dotknął południową Ukrainę (nocz: nicz, czołowiek: czołowik, koszka: kiszka) i pogermańskie Czechy, tych Jiřików zamiast Jerzyków, ale i z niebagatelnym dla naszego przewodu dowodowego — “lud: lid”.

Przywołany tutaj na pomoc ikawizm solidnie liźnął zarazem dialekty starobiałoruskie, “czym: cim”, “lada: lida”, “dzień dobry: dziń dobry”, “lunuć: linuć”...

Jednakże musiało skończyć się na “litwo”. I pewnie tak było przez czas jakiś, zanim twardą i “okającą” wymowę starosłowiańską nie rozregulowało dalsze różnicowanie się wskutek pojawienia się na jej podłożu bałtyjskim i ugryjskim tzw. akania, czyli zaniechania obowiązkowo akcentowanego “o” (nieprzypadkowo zachowuje go cerkiewna tradycja wokalizy liturgicznej).

Litwa więc. Przekonuje to?

Litwę fundował sobie Połock, ileś tam razy Psków i inne centra, którym nie brakło grosza, aliści w deficycie była u nich chęć dania wycisku zbliżającemu się agresorowi, kwapiącemu się do

daremszczyzny zdobyczej. Litwini przenigdy nie ruszali do boju o suchym pysku i za egzaltowane “dziękuję ci, wybawco”. Sypało się w ich dłonie z trzosów.

Jeno przez mały wstępny moment zastanawia wyłonienie się Nowogródka w charakterze nowego ośrodka państwowotwórczego, konkurencyjnego Połockowi. Zmienianie się stolic, przesuwanie ich z regionu do regionu jest czymś zwyczajnym w trakcie rozrastania się i krzepnięcia zrodzonego bytu politycznego. Królestwo Polskie zdążyło mieć je aż cztery, a mało brakowało, by za ostatniego Jagiellona wyawansowano na piątą Knyszyn, co powinno było — uwaga! — jeszcze silniej, aniżeli Warszawa, związać Litwę z Koroną. W Ziemi Połockiej naturalnie nie fermentował separatyzm antylitewski, więc Gedymin przeniósł swój tron wielkksiążęcy w pobliże niepewnych Żmudzinów, do Wilna, chociaż — niczym Wawel u Polaków — nowogródzkie zamczysko i usytuowane tam świątynie katedralne długo odgrywały rolę miejsca koronacyjnego, symbolicznego spełniania aktu przejmowania władzy.

Jak wszędzie w ówczesnej Europie, mrowiącej się od księstw i księstewek, także i Nowogródek zmierzał był ku swej wielkości wcale pokrętną drogą. Z perspektywy tylu wieków rzuca się w oczy to akurat, iż dosyć szybkie rozrastanie się potęgi owego grodu, a zatem i ciężącego ku niemu opola na tej wysoczyźnie, zawdzięcza swemu położeniu nieomal w środku swoistej strefy ciszy, na odległych kresach której wciąż rozgrywały się dramaty przy akompaniamencie szczęku oręża. Na południe od nieprzejrzanых maticzników bagiennych Polesia przegalopowała niezwyciężona konnica Batyja z Wielkiego Stepu. Za północnym pojezierzem Kawalerowie Mieczowi niepokoiłi Psków i, co ważniejsze, odcięli Połockowi wyjście do morza (już w 1202 roku łaciński biskup Albert zakłada Rygę). Na zachód od puszczy granicznych Krzyżacy dobijali pracowicie bunty plemion staropruskich i jęli nachodzić nasiąkającą słowiańskością Jaćwież, pleniącą się po sam Słonim i bagienne Polesie. Uciekinierów

stamtąd przygarniało Grodno i czarnoruscy kniaziowie, intensyfikujący wzrost gospodarczy w coraz ludniejszych osadach w dolinach spławnych Świsłoczy, Szczary, Jasiołdy, grawitując ku Prypeci i słynnej drodze wodnej na Bugu. Paganie znad Śniardw i Wigier czuli się w Nadziemniu i w Przybiałowieżu jak u siebie w domu, stykając się z pobratymczym tu dla nich żywiołem przetykanym słowiańskimi rodami. Wnet posłuży to za wygodny krzyżowcom pretekst do nader częstych wycieczek zbrojnych do samego Pięciorzecza, gniazd archaicznych Litwinów, czego wielokrotnie ciężko potem żałowali.

Na osi ich rajdów dywersyjnych znajdowała się dzisiejsza Białostoczczyzna. Mimo marginesowego zainteresowania archeologów tymi terenami, dokopano się do pozostałości wczesnośredniowiecznego osadnictwa o jednoznacznej wymowie: gęstość zaludnienia w tutejszych stronach nie odbiegała zbyt od nadwiślańskiego pasa czy Naddnieprza. Jedyne pustoszący miecz rycerzy z białym krzyżem na płaszczu obrócił te ziemie w perzynę, na stulecia przemieniając je w zarastające starodrzewiem pustki. Na tę zacieklą agresję trzeba spojrzeć też z punktu widzenia poznania naukowego. Kierowane z Malborka wyprawy wojenne z reguły nie przekraczały zasięgu etnicznego występowania Bałtów, stanowiących wyspę pogaństwa w otoczeniu zachodniego i wschodniego chrześcijaństwa. Pozbawione ducha misyjności prawosławie zachowywało się stosunkowo obojętnie wobec bałwochwalczego sąsiedztwa. Stąd przewlekłe utrzymywanie się barbarzyńskiego komponentu w strukturze wyznaniowej Czarnej Rusi, obramionej Mazowszem, Podlasiem, Wołyniem, Białą Rusią oraz Auksztotą, że ograniczę się do bardziej znanych przeciętnemu czytelnikowi krain.

Między Bugiem a Narwią, ale także Supraślą, Sokołdą i Biebrzą gospodarowali niewątpliwi praszczurowie ubiegłowiecznych Poleksian, po części wytrzebieni i wyniszczeni w dymie pożarów ich siedzib, także w ostępach kniei, nad strumieniami. Zdani na impet niejako pierwszoliniowego uderzenia, musieli oni być starci

na proch i kurz, a kto ostał się żywy, krył się na trzęsawiskach lub umykał z rodziną pod osłonę najbliższych warowni — bielskiej, supraskiej, drohickiej, brzeskiej, wołkowyskiej, grodzieńskiej... Definitywna kolonizacja tego przykordonia mazowieckiego miała miejsce dopiero na przełomie piętnastego i szesnastego wieków, a wzdłuż Czarnej i Brzozówki przeciągnęła się aż po schyłkowe dekady Pierwszej Rzeczypospolitej, kiedy to biegnące tędy rozgraniczenie pomiędzy Wielkim Księstwem Litewskim a Mazowszem przestało w końcu posiadać znaczenie.

Zachowane w niemieckich kronikach wschodniopruskich opisy tras uczęszczanych przez rycerzy Panny Maryi wyjaśniają do pewnego stopnia przyczyny, które spowodowały spiętrzenie się mas Bałtów w pasmie archipelagu większych grodów obronnych, ryglujących międzyrzecze Bugo-Niemna. Skutkiem tego nie tyle sławizacja we wczesnohistorycznym pojęciu, lecz już białorutenizacja trwała tutaj do progu dwudziestowiecza; są poświadczenia w materiałach wspomnieniowych. Poszukiwaczom rzadkości bibliofilskich trafiały do rąk kancjonały i inne druki religijne, właściciele których — przypuszczalnie proboszczowie odludnych parafii — notowali na marginesach słowa z lokalnie będących w użyciu “narzeczy barbarzyńskich”, utrudniających zapewne działalność duszpasterską w czasach saskich i później. Nie uzbierało się owych, na roboczo niegdyś sporządzanych, zapisków na tyle dużo, by sądzić o staromowie aborygenów. Jednakże ponad setka jednostek leksykalnych, widocznie najtrudniejszych do zapamiętania, wskazuje na jaćwieskie czy też odpruskie ich pochodzenie. Dłomiemanie to umacnia wyjątkowo wysoki procent rasowości nordyckiej, ponad dwukrotny w stosunku do przeciętnego w Polsce, oraz wyraźnie wyższy, aniżeli gdziekolwiek w granicach Republiki Białoruś, która pod tym względem jest jednolita z Łotwą i Republiką Litewską, zaś radykalnie odcina się od mongoloidalnej Rosji oraz iranopochodnego areału Ukrainy (z wyjątkiem Galicji Wschodniej, przesyconej krwią turskich

stepowców i ugryjskich odszczepów w przyjęcie zauralskich Madziarów na równinę naddunajską w IX w.).

Inne domieszki antropologiczne zasadniczo nie wpłynęły na ukształtowanie się typu Białorusina. Mam tu na myśli również turskich Tatarów z Chanatu Krymskiego, którzy przechodzili na służbę litewską już za Witolda Wielkiego. Wszyscy oni otrzymywali tytuły bojarskie i wykonywali posługi wojskowe, głównie strażnicze na szlakach lądowowodnych. Bliżej poznałem odcinek świsłocki, pradawne wsie Harkawicze, Ozierany Wielkie, Łosiniany, Mostowlany; w rysach twarzy zasiedziały tam rodów doszukiwałem się genetycznego echa potomków Gireja. W pobliżu jest do odnalezienia zapomniany przez mijające pokolenia cmentarzyk muzułmański. Zaintrygowały mnie Białohorce, przycupnięta przy piaszczystym gościńcu ozierańskim miejscina. Jej nazwa wywołuje skojarzenia z wytworzeniem się rzeczownika odmiennego Białowieża, który powstał w swym pierwotnym brzmieniu jako Bieławież, wywodząc się wprost od Białowieżan naddońskich, osadzonych tutaj Połowców, by prowadzili działania zaporowe. Ślady po nich, to toponimika i hydronimika, rzeczulka Pulwa i uroczysko Bachmat vel Bachmacz, wszelkie kobyłe górki i Kobylanka (szokowali tubylców piciem mleka kobyły, kumysu). Na przeciwnym krańcu Białorusi, na Mohylewsczyźnie konkretnie, stwierdzono zauważalny odsetek osobników roślących ponad miarę, jasnowłosych i błękitnookich. Uważa się, że są oni reliktową końcówką znanych tylko z podręczników historii Waregów alias Normanów znad antycznego Barystenesu (czemu nie, skoro do dziś mieszkają rdzenni Grecy w ukraińskiej Taurii, w prostej linii Hellenowie pontyjscy).

Przeceniamy przypadkowe kontakty seksualne na zmiany fizjonomii narodu. Żadne gwałty, zdarzało się, że i masowe w dobie wojen czy jakichś zawieruch społecznych, nigdy nie miały istotnego wpływu na odmianę biologiczną danej populacji. To nieprzyzwoity mit i nieprawda. Na to, by tak się stało, trzeba osadnictwa, małżeństw mieszanych, krzyżowania się żywiołów

przez bardzo długie okresy czasu. Zresztą, niechciane niemowlęta wtedy zabijano, topiono, niczym kocięta.

KAMUNIKAT.ORG

BIAŁORUŚ I POLSKA — MAŁŻEŃSTWO Z ROZSĄDKU

Niniejszy tekst i następne przygotowane są dla czytelnika polskiego, stąd moja koncentracja na stronie białoruskiej jako bardzo mało znanej. Naukowa historia Białorusi zaś na dobrą sprawę wciąż nie istnieje, jeśli mieć na uwadze jej fundamentalne opracowanie. Przeszłość Białorusinów była i po części nadal jest traktowana instrumentalnie, natomiast sami Białorusini nie są jeszcze w stanie — jak na razie — w należyтым stopniu przeciwdziałać temu. Przyczyny tej nieomogi są wielorakie, z pewnością jednak za główną trzeba uznać brak bytu niepodległego od przeszło czterystu lat lub przynajmniej właściwych dla tego rodzaju badań historycznych struktur narodowych, materialnie i politycznie niezależnych od obcych nacisków.

Jak państwo Polan, późniejszych Polaków, poczynalo się w Kruszwicy, Gnieźnie i okolach, tak pierwociny państwowości białoruskiej historycy lokują na obszarze średniego biegu wielkiej rzeki Długiej, powszechnie znanej jako Dźwina, z gradami Połockiem i Witebskiem, prastarym szlakiem handlowym z północy na południe. Stamtąd szło pojęcie Białej Rusi, początkowo bytujące w ogóle na wschodniosłowiańskiej północy, przez nikogo nie podbitej (fiksowanej jako Alba Russia). We wczesnośredniowiecznych dziejach białoruskich liczył się przede wszystkim Połock (Połacak). Pierwszym, dokumentalnie ustalonym władcą połockim był Rahwałod. O samej tej postaci mamy trochę okrucich wiadomości z kilku ocalałych z otchłani wieków kronik staroruskich. Połock, będąc miastemrepublika, korzystał z usług zbrojnych kondotierów wareskich, jak to było w zwyczaju podobnych mu ośrodków. Dociekliwi badacze uważają, że książ Rahwałod wywodził się gdzieś z południa dzisiejszej Szwecji, a jego nowoimię słowiańskie należy deszyfrować: Władający

Rogiem, przez co miano na uwadze uzyskanie w końcu przez Ziemię Połocką dostępu do Bałtyku wzdłuż tejże Dźwiny, w okolicach obecnej Rygi (rah-roh: róg, wałod: władać).

Napomknienie o tym suwerenie w zapiskach kronikarskich odnosi się do roku 980, w którym Rahwałod poniósł męczeńską śmierć wraz z żoną i dwoma synami z rąk potomka — ponoć nieślubnego — pobratymczego mu najemnika z Nowogrodu Wielkiego, a wówczas już księcia na Kijowie Włodzimierza Światosławicza, przyszłego chrzciciela i świętego. Podobno poszło o piękną córkę Rahnedę — normańskie imię? — niczym o przecudną Helenę w wojnie trojańskiej... Młodzieniaszkowaty jeszcze kijowski zwycięzca zachował przy życiu swą wielbioną bez wzajemności bogdanę celem zgwałcenia jej z pomocą przybocznych mu wojewodów i niejako w towarzystwie stygnących trupów jej ojca, matki i braci. Branie siłą kniaziówny okazało się być zemstą za jej hardość, a zwłaszcza poprzednią odpowiedź swatom, aluzyjnie przejrzyście, że nie życzy ona sobie w łożu małżeńskim “rabyńcza”, czyli syna (nowogrodzkiej) nałożnicy. Haniebny ów czyn niewiele jednakże zaszkodził przyszłej reputacji nie pretendującego do pierwszej roli na kontynencie Włodzimierza, utytułowanego nie tylko Wielkim, ale w dodatku jeszcze ruskim i świętym. Znacznie gorzej wyszedł na identycznym zachowaniu się później w Kijowie polański Bolesław Chrobry, znieprawiając księżniczkę krwi, co wywołało niesmak zarówno wśród własnych wojów jak i w ogóle w Europie, pamiętającej o Bolesławowych pretensjach do tronu cesarza niemieckorzymskiego. Wszyscy monarchowie wokół zostali wtedy konsekrowani, takie były bowiem pobożne wielce czasy, jedynie chrobry Bolko pozostał zwykłym Chrobrym, czyli odważnym co prawda, aliści niezbyt zasłużonym na polu spraw Boskich i ludzkich... Swą życiową przegraną pojął on zbyt późno, koronując się tuż przed śmiercią przynajmniej na króla podporządkowanych mu plemion. Dopowiedzmy gwoli jasności:

Kijów na przełomie tysiącleci znajdował się bez porównania bliżej owoczesnej europejskości, niżli może nam się to dziś wydawać.

Rahnedę zmuszono do zostania główną żoną barbarzyńcy; wszystkich ponoć zbierałoby się ponad pięćset, do ośmiuset. Wraz z przyjęciem niebawem chrześcijaństwa jako religii państwowej trzeba było zrezygnować z owego haremu... Istnieje dosyć udokumentowana teza, że pogaństwo w Ziemi Połockiej kurczyło się znacznie wcześniej, pod wpływem misjonarzy z Zachodu, którzy podążali w ślad za Normanami. Przy okazji: ciągle nie jest jasna etymologia rzeczownika "Ruś", nie poddającego się czytelnym analizom w oparciu o leksykę starosłowiańską. Kończąc wątek z arystokratyczną branką podbitego Połocka, wiemy i to, że dalsze jej losy uczyniły z niej postać legendarną (niejakiej analogii na gruncie polskim można doszukać się w półmitycznych przekazach o "Wandzie, co nie chciała Niemca").

Władztwo połockie jako całość nie było efemerydą dzielnicową, pod jego domeną znalazło się około 2/3 aktualnego terytorium Republiki Białoruś, sięgnąwszy na południu obrzeży puszczy poleskich, na zachodzie natomiast — moren Nowogródziny. Ustaliła się dlań nazwa: Połackaja Ziamla. To państwo nie było zwrócone ku Koronie Polskiej, nic go nie obchodziło Gniezno czy Kraków. Przesuwało ono swe strażnice w głąb Łatgalii, kraju współczesnych nam Łotyszy, który tak już i pozostał dwujęzycznym, łotewsko-białoruskim, w południowo-wschodnim swym zakątku, w łuku najbliższego Zadźwina.

Piastowie — w międzyczasie dotarli do wnętrza włości niechętnych im Wiślan, zagarniając Wawel. Charakterystyczne, że rozrost wczesnych tworców państwowych, ich ekspansjonizm terytorialny, niezmiennie pokrywa się z późnorzymskimi szlakami handlowymi ku północy, przebiegającymi oczywiście nie przez niedostępne knieje i rozlewiska bagien, lecz dolinami szerokich arterii wodnych, takich jak Wisła, Odra, Dniepr, Dźwina. Powstanie Rygi na progu trzynastego stulecia trzeba

łączyć nie tylko z rozkwitem osady ugrofińskich Liwów, lecz należy pamiętać nade wszystko o ogromnym zapleczu gospodarczym Ziemi Połockiej, której mało brakowało, aby przy sprzyjających okolicznościach politycznych przenieść swój śródlądowy port o zasięgu kontynentalnym na wybrzeże rozległej zatoki bałtyckiej, przekształcając go w pełnomorski. Połoczczyzna dysponowała wyjątkowo wygodnym położeniem, panując poprzez Witebsk nad słynnym szlakiem “z Waregów w Greki”, kontrolując ruch karawan kupieckich, a po części i łupieżczych wypraw ze Skandynawii i Nowogrodu na południe, do jarzących się złotem bram Carogrodu i urokliwych miast Hellady. To powodowało typowe dla tamtych epok konflikty orężne, z reguły rozgrywane się tutaj w dysproporcji “dwóch na jednego”, jako że na słowiańskim wschodzie panowały trzy metropolie wielkomięskie — Nowogród, Połock, Kijów — uchodzące za prazaczatki narodowości Rosjan, Białorusinów, Ukraińców (zawsze państwo pierwszej tworzy naród).

Wróćmy na chwilę w tym akurat miejscu do tematu przenikania chrześcijaństwa do owej Alba Russii. Wiadomo, że oficjalny chrzest nie stał się czymś olśniewająco nowym dla tutejszej ludności; wspólnoty wierzących działały co najmniej o wiek wcześniej, przy czym ze wzrastającym powodzeniem. Przy stosunkowo intensywniejszych, aniżeli w Kijowie, związkach z łacińskim Zachodem trudno sobie wyobrazić, aby nie dochodziło w tych stronach do regularnej infiltracji wpływów rzymskokatolickich. Brak pewnych wiadomości w tym względzie może być rezultatem nieprzebadania archiwów historycznych, a to nader częste zjawisko w dziejopisarstwie białoruskim. Bez wątpienia uczęszczali tu misjonarze z gotyckich burgów Skandynawii, z Lubeki, Bremy, Hamburga... Kopenhagi. Z tych, do których dobijały okręty albarusskie.

Czekały Ziemię Połocką czasy prześwieatne, dekady wszelkiej pomyślności. Wnuk pohańbionej Rahnedy, książę Braczysłaŭ, założył był dynastię niezwykle rzutką w swych poczynaniach. Po

nim pozostał ślad wiekopomny, Braślau (dawny Braczyslau) u wrót do Łotwy, wykreowany na ośrodek wojenno-administracyjny w tym świeżym nabytku terytorialnym, bardzo poszerzającym wzmiankowany "roh" naddźwiński. Udanie odpierał ataki potężnego Nowogrodu, organizował wyprawy odwetowe. Nie będe zatrzymywał się przy kolejnych dynastach, by nie zaciemnić obrazu nadmiarem informacji, ale pod żadnym pozorem nie wolno mi pominąć Usiasłava Braczysławicza, zwanego Czarodziejem przez wdzięcznych poddanych. Na to miano zasłużył on wieloma przymiotami, takimi jak zdecydowanie, mądrość, energia osobista. Ziemia Połocka pod jego berłem weszła na szczyty swego rozwoju, ostatecznie uniezależniając się od silącego się na prymat Kijowa. Strategicznie rozegrał on całą rzecz bezbłędnie, najpierw pokonując i neutralizując ów Nowogród Wielki, następnie zaś zajmując stolec kijowski. Jego czyny, jak żadnych innych władców, przetrwały w podaniach ludowych, notowanych przez dziewiętnastowiecznych etnografów, a sam wizerunek Czarodzieja, miniaturka portretowa, uświetnia piętnastowieczny latopis radziwiłowski. Sprawował on rządy szczęśliwie i długo, około sześćdziesięciu lat, umierając w chwale 14 kwietnia 1101 roku. Budowniczy katedry prawosławnej pod wezwaniem św. Zofii. Fundator odrębnego biskupstwa.

Jak to zwykle bywa po odejściu znakomitych działaczy państwowych, wraz ze zgonem Czarodzieja zabrakło równej mu klasy następcy, mocarza i zarazem myśliciela. Doszło do głosu, nieco przytłumione dotychczas na forum publicznym, mieszczaństwo, jego "wiecza" (wiec); pojawili się kniazio wie elekcyjni, recydywa demokracji plemiennej; obierani i przy byle niepowodzeniu przepędzani. Od strony Bałtyku ładowali Krzyżacy. Były to już nie przelewki, pod ciosami Teutonów padały grody obronne na dolnym Podźwiniu, Hercyke i Kukenojs poszły na pierwszy ogień. W ten sposób uległa zmianie sytuacja geopolityczna; zresztą i w szerszym kontekście na tym obszarze Europy: pod naporem stepowego imperium Mongołów chwiał się i

sypał konkurencyjny Kijów, Germanie twardo desantowali na całym morskim wybrzeżu, aż po kraj Estów, buszowali w Prusiech, co prawda dosyć odległych, bo za puszciami Auksztoty i Żmudzi... Nieźle trzymał się w swych niezmiernych posiadłościach Nowogród Wielki, zakładając faktorie nad jeziorami Karelii i nad Morzem Białym, prac przy tym po nieboskłon tundry i pogórza uralskie. Panujący mu Aleksander Newski nie dawał się odepchnąć przez Teutonów, jednocześnie nie poczuwając się — jak i Połock — do ratowania Rusi w Naddnieprzu i Galicji.

Co było począć w tak kształtującym się kotle? Pangermańska Europa rycerska, pobrzękująca żelastwem zbroi, naciskała na ów zasobny kraj, a geniusz zdobywczy wschodu z drugiej strony łupił i palił wszystko, co mu się opierało (całkiem lojalnie tolerował uległość, co znakomicie wykazał Gumilow: reżym tatarski wcale nie był bardziej krwiożerczy, aniżeli rodzimy).

Ruś Biała dojrzewała do swego pierwszego małżeństwa z rozsądku. Wiemy, że kiedy Prusowie zrywali się do powstań antykrzyżackich, a w Królestwie Polskim natomiast kwitło w najlepsze rozbiecie dzielnicowe — jak wszędzie gdzie indziej, wskutek progresu gospodarczego i społecznego poszczególnych ziem, — w 1262 roku łaskawie zasiadł na tronie połockim Litwin, poproszony o to przez samych połocczan — ich “wiecza” — niejaki Taúciwił. Właśnie, skąd się pojawili nagle owi Litwini, o których, jeśli cokolwiek się słyszało, to raczej lekceważąco i półgębkiem? No, pod tą datą to oni już rzeczywiście byli na tym Bożym świecie, skoro pamiętamy, iż w rok potem, w 1263, został zadżgany przez własnego koniucha były król Litwy Mendog, dobry kondotier i beznadziejny polityk.

Litwa — nie mylić z dzisiejszą — wychynęła z ostępów borów do życia politycznego dzięki Nowogródkowi właśnie. Ów Navaharodak — jak brzmi jego nazwa oryginalna — wyrósł na rywala Połockowi, niczym Kraków Gnieznu. W bezpośrednim zasięgu tej nowej metropolii znajdowała się Litwa pierwotna, w górnym dorzeczu Niemna, gdzieś między Mińskiem a

Mołodecznem i Słonimiem. Jak twierdzą ostatnio badacze, jej struktura społeczna była przesiąknięta klanowością poceltycką, niegdyś powszechną w dobie sławizacji areału przyszej Białorusi. Z Litwy rekrutowały się drużyny do wynajęcia, nawet przez Psków i Nowogród Wielki; szły także na Bałkany, tworząc tam jakies księstwko litewskie, do dziś nie dające spokoju historykom. Ten lud wojowników nie stanowił wdzięcznego obiektu do manipulowania, więc Nowogródek posłużył się metodą dywersji wewnętrznej, kaperując sobie wziętego rycerza-zbója Mendoga wraz z jego klanem, który z właściwą mu i jemu podobnym bezwzględnością podporządkował wszystko wokoło i nieco dalej, a kiedy już stał się niesterowalny ten gorliwy neofita z litwińskiej enklawy pogaństwa na dawnych peryferiach Ziemi Połockiej, zginął banalnie i nie w majestacie korony, lecz będąc przez Nowogródczan zdymisjonowany, przepędzony do tej swojej Litwy, gdzie po tylu wyczynach na żołdzie nie mógł być kochany... Tak się rodziło Księstwo Litewskie, po wchłonięciu Połocka w niecały wiek potem nazwawszy się Wielkim.

Próżni terytorialnej nie bywa. Jeśli gdzieś zanosi się na to, bezwłocznie jest zagospodarowywana. Po przeżyciu swego apogeum, usychająca pod każdym względem Ziemia Połocka musiała podpaść pod wpływ szybko zyskującej na potencji Litwy z centrum na nowogródzkiej Górze Zamkowej, jako żywo kojarzącej się z wawelskim wzniesieniem na krakowskich błoniach nadwiślańskich (to gwoli uczytelniającej zagadnienie analogii). Wygrane wreszcie przez Navaharodak krwawe wojny z Rusią Halicką, która posiłkując się tatarskim sojusznikiem usiłowała anektować całość Polesia i nadniemeńską Ruś Czarną, czyli peryferyjne dominia połockie, nielecho pokrzepiły zwycięzcę. Jak i oczywiste jest to, że w takich razach stronie silniejszej przybywa apetytu, co widzimy aż po dziś dzień w herbach z Pogonią miast Podlasia i dalej, w górę biegu Bugu, od Brześcia, któremu dopisano przydomek Litewskiego. Haliczanie dali pokój swym ambicjom

ekspansjonistycznym, mając wkrótce na karku Węgrów i niebawem poddając się Kazimierzowi Wielkiemu.

Twardo tkwiąc nieomal w środku arealu prebiałoruskiego, niepowstrzymany rozrost Wielkiego Księstwa Litewskiego pozostawał kwestią najbliższych dziesięcioleci. Dokumentalnie wiadomo, że w 1307 roku, gdy Łokietek z ledwością jednoczył Polskę, Połock wraz z całym dobrodziejstwem inwentarza włączył się w budowanie nowo-państwa, które nasunęło się nań z bezpiecznego zdawałoby się kierunku, na długo jednakże zachowując pozycję najbogatszej metropolii z szeregiem osobnych przywilejów. Moment ów okazał się zwrotnym w dziejach Białej Rusi przez następne wieki. Fuzja dwu potęg, militarnej — szczytującej na wysoczyznach tego zakola Niemna — i gospodarczej, z tradycyjnie rozbudowaną infrastrukturą kupiecką na Dźwinie i jej dopływach, być może pachnie mezaliansem, ale niemniej okazała się solidnym małżeństwem. Cóż z tego, że z rozsądku. Czy w polityce, jeśli nie degeneruje się ona w awanturę, zdarza się inaczej? Połock posłużył Księstwu za bankiera, rozbuchał jego armie do takich rozmiarów, że za Witolda wyszły one ku innemu morzu, Czarnemu, i wkroczył książę litewski w dorzecze Oki, i zapuszczał się w falujące stopy Donu. Czy znowu recydywa to zbierania wszystkich Rusi, już w rywalizacji z nigdy przedtem nie słyszaną Moskwą? Bo Kijów stoczył się do poziomu centrum wojewódzkiego, Nowogród Wielki zaś odpuścił sobie niegdysiejsze chętki na przejęcie szlaku “z Waregów w Greki”, tym łacniej że uległ ten trakt dewastacji i prawie nic teraz nie znaczył w miarę posuwającego się upadku Bizancjum; Turcy osmańscy w najlepsze harcowali w prowincjach, tratując Serbię i Bułgarię, przeistaczając Akropol w fortecę ze stajniami dla wierzchowców... Kolonie greckie na Krymie i północnym Przyczarnomorzu porastały trawą zapomnienia, kryjąc w swych ruinach nie wyrabowane do cna przez dzicz szczątki prześwietnej cywilizacji.

Mariaż, o którym mówię, kojarzy mi się z innym, o stulecie późniejszym (miała Białoruś tych zamęść!). Myślę tu o usadowieniu się Jagiełły na Wawelu, niczym owamtego Taúciwiła na Połocku: też zwiążanie się słabszego z mocniejszym, w tym wypadku z Koroną Polską, przeważającą nad swym kontrahentem pod każdym względem w parametrach ekonomicznych, aliści potrzebującej tej Litwy (dzięki niej stał się możliwy Grunwald).

Wkraczamy w okres, w którym Biała Ruś na zawsze pożegnała się ze swą morską orientacją. Odepchnięta z kierunku ryskiego, zwróciła się w głąb kontynentu. Od tego zwrotu możemy doszukiwać się stabilnych kontaktów z partnerem polskim. Chrobrowe browerie bowiem w drehowickiej jeszcze Ziemi Turowskiej nie sposób zaliczyć do inauguracyjnych trwałe związki między kształtującymi się wówczas organizmami narodotwórczymi. Za Olgierda nadal popatrywano na wschód, choćby na tenże Nowogród Wielki i na Twer, tudzież na zapyziałą Moskwę, ale za tragicznych rządów Kiejstuta walec konieczności zaczyna toczyć się na południowy zachód, popychając akurat Jagiełłę-Jakuba, postać ciągle kontrowersyjną dla nas, Białorusinów, a w dwudziestowiecznej żmudzko-auksztockiej Republice Litewskiej wręcz przeklinaną. Czyli związki w kulturze są funkcją wzajemnych stosunków w polityce i ekonomice. Kogo mogła interesować monarchia Polan w opłyającym w dostatki dawnowiecznym Połocku, ciągnącym krociowe zyski z handlu bałtyckiego, w którym początkujący Gdańsk ledwie się liczył? Pomorzanie, to i owszem, ale ci z Wolina, światowego portu na ówczesną skalę. Przebąkują kronikarze o jakiejś księżniczce, Światochnie, niechybnie z Pomorza, ponoć panoszącej się na górnych piętach władzy Ziemi Połockiej...

Zatrzymajmy się na tych uzasadnionych domysłach z zarania naszego tysiąclecia, kiedy to analfabetami byli wszyscy, łącznie z establishmentem, prócz czernców, tj. mnichów i kapłanów, którzy musieli przynajmniej sylabizować Słowo Boże, a było Ono —

pamiętajmy — odręcznie pisane (Gutenberg jakoś nie śpieszył się na ten świat).

Tysiąc trzysta osiemdziesiąty piąty rok na zamku w Krewie mógł nic nie znaczyć, najwyżej nie pamiętany epizod jakowyś. Przeszedł jednak do naszej pamięci historycznej jako przełomowa data, początek procesu jednoczenia się Wielkiego Księstwa Litewskiego z Koroną Polską i vice versa. Imperium z tego póki co nie wynikało, bo na sam przód wysuwała się polityka dynastyczna, która powinna była dopiero dać zrosty materialne i duchowe, w niecałe dwieście lat po tym znamienym fakcie tworząc Rzeczpospolitą Obojga Narodów. Nikogo z inteligentnie myślących nie dziwi, że umawiające się Wysokie Strony nie żywiły złudzeń co do nierównorzędnych korzyści z zawieranego sojuszu. Wojna domowa wisiała na włosku, który wnet się zerwał, zanim Jagiełło zdołał dogłębnie rozeznac się w problematach Królestwa. Krewny mu Witold nie ustępował ani na jotę ze swych zamiarów stania się jedynowładcą, warującym w Wilnie. W końcu dostał, co chciał.

Wielkie Księstwo Litewskie inkorporowało ongiś Żmudź z Auksztotą, nie zdoławszy jednakowoż pójść dalej za ciosem, czyli chrystianizować owe pogańskie włości. Prawosławie, ograniczające się wtedy do żywiołu słowiańskiego, nie popisało się duchem misyjności; takie już jest ono aż po współczesne nam czasy. Pisze się zatem, że Jagiełło zobowiązał się do przeprowadzenia chrztu Litwy. O, z tym to gruba przesada, albowiem tak naprawdę szło o anachronicznych Żmudzinów, którym królewscy pełnomocnicy w tej masowej akcji wręczali upominki w postaci koszul i innych delikatesów. Po tym, oczywiście, kiedy polski książdz był pokropił... Białoruś jawiła się chrześcijańską od zawsze, czyli jednocześnie z Polską. Tyle, że nie w tym obrządku, mimo że państwo polańskie pierwiej przyłączyli do wiary Chrystusowej wcale nie rzymscy katolicy z Niemiec i Galii, lecz podlegający biskupowi Rzymu duchowni rytu słowiańskiego, skrupulatnie potem wymazanego przez dziejopisców lechickich. Katolicyzm

nigdy nie bawił się w uznawanie niewygodnych dla siebie faktów, zdobywczość jego nie pozwalała mu na to.

Tak czy trochę nie tak, ale relacjami polsko-białoruskimi w skali nie wyimkowej należy interesować się nie wcześniej, aniżeli od założenia dynastii Jagiellonów. Nareszcie obserwuje się odtąd regularność w nich, z tendencją do przyśpieszania pulsu. Że Jagiełło musiał odzegnać się od ruskiej ortodoksji, by móc poślubić węgierską królową i objąć tron polski, to jest zrozumiałe. Ale dlaczego przystał na warunek uczynienia z katolicyzmu wiary uprzywilejowanej w swej ojczyźnie?! Co mu dała Unia Horodelska, prócz posiewu zarzewia konfrontacji z prawosławnym możnowładztwem, która dramatycznie uzewnętrzniła się tuż po śmierci Witolda Wielkiego i finalizowała się żalosnym wprowadzeniem na siłę na stolec wielkksiążęcy bezwolnego Zygmunta Kiejstutowicza (zarżnięto go w kilka lat po wyniesieniu na hospodara). Moskwy wtedy na poważnie nie obawiano się, litewskie zagony graniczne słyszały przy cichej pogodzie dzwoniące w jej soborach, tak daleko sięgała władza znad Wilii i Niemna. Rejterada nie wchodziła w rachubę, nawet jako możliwy z możliwych wariant; Smoleńsk stanowił głębokie zaplecze, żadne tam przygraniczne lub przyfrontowe. Tak to było.

Cuius regio, eius religio nie należało do wyjątków w wiekach średnich i późniejszych, wręcz odwrotnie — było zasadą, regułą nie do podważenia w praktyce. W Krakowie trzymał berło królewskie obowiązkowo katolik. W Wilnie natomiast przez wzgląd na charakter wyznaniowy Księstwa winien był zasiadać prawosławny? Dobrze by było, ale przeczyłoby to samej naturze unitaryzmu, jego niwelacyjnemu oddziaływaniu. Ano, bo cóż się wydarzyło po mordzie w 1440 r., popełnionym na ostatnim Kiejstutowiczu? Osoba wielkiego księcia przestała funkcjonować osobno od królewskiej i odtąd łączono tytuły w jeden. Natomiast zlanie się samych państw w Rzeczpospolitą było marudnym procesem, jak się okazało, zależnym głównie od dwu czynników — postępów cywilizacji polskiej na Litwie, wyrażających się w

podziwie dla urzędzeń publicznych w Królestwie, co z kolei warunkowało narastanie poczucia obcości wobec porządków moskiewskich oraz zagrożenia nimi, proporcjonalnie do topniejącej zdolności obronnej i realnie nadciągającej stamtąd agresji. Nie przypadkowo przecież z oporami podpisano Unię Lubelską, kiedy Iwan Groźny wcale nie mimochodem zdobył Połock i najspokojniej szykował się do triumfalnego wjazdu do Wilna.

Jako mądrzejszy z takiej perspektywy wielowiecza, mimo wszystko zastanawiam się nad tym, czy przechwycenie przez Łaskiego korony dla Witolda trzeba rozpatrywać w kategoriach mądrości racji stanu, czy zwyczajnie uważać to za akt rozboju politycznego? Dopóki Moskwa wegetowała w cieniu Wielkiego Księstwa Twerskiego i bezkresu ziem Republiki Wielkiego Nowogrodu, Wielkie Księstwo Litewskie zachowywało się dosyć niefrasobliwie, sąsiadując z tłumem nawzajem pustoszących się władctw, w dodatku marionetkowych (za te kukielki pociągała Złota Orda). Aliści gra traciła na jakości, stawała się coraz gorsza. Tożsamość litewską korodowały wpływy polskie do tego stopnia, że uciekającym pod Homeł w siedemnastym wieku starowiercom była to już Polska. Ewentualne Królestwo Litwy przetrzymałoby napór młodego, więc dynamicznego przeciwnika, kierującego swe pułki na Orszę? Odbito je raz i drugi, i to pod komendą zawzięcie prawosławnego księcia na wołyńskim Ostrogu, ale na Dźwinie w pół wieku po tym nie podołano nawale. Sama Litwa podała by tyły, w to nie warto wątpić. Ogromniejąca Rosja, jak gdyby niechcący, zyskiwała wprost nieobliczalną przewagę, nie bacząc na ekstensywny poziom jej pęcznienia.

Dwór krakowski nie pędził swego żywota bezchmurnie w rodzinnej Europie. Starczało i jemu kłopotów na dużą skalę, nawet po wiktorii grunwaldzkiej, której nie przykłaśnięto w Lotaryngii czy w Anglii. Sam Paweł Włodkowiec, przedni umysł, ostro się namęczył z Janem Falkenbergiem, obrońcą praw krzyżackich na soborze w Konstancji. Wzywano tam do krucjaty przeciwko —

uwaga! — pogańskiej Polsce, która z podobnymi sobie wycięła w pień kwiat rycerstwa zachod-niochrześcijańskiego w lipcu 1410 roku. Jeśli tak stały sprawy u braci w duchu rzymskim, to cóż dopiero mówić o ich stosunku do terenów cerkiewnodzwonnych, do których miano na Wawelu państwowy interes!? W przywilejach horodelskich — 1413 r. — szybkoitko wykasowano niejasności interpretacyjne co do religii panującej w królowanie neofity Jagiełły, z kompletem skutków takowego nastawienia. W Europie miał prawo być królem jedynie władca uznający zwierzchnictwo duchowe papieża. Na tym połamał sobie zęby ów Mendog. Zatracił się także Daniel, w 1254 r. koronujący się w Drohiczynie nad Bugiem i obierając Chełm na swą stolicę. Tedy nie zdumiewajmy się częstym buntom panów na Białej Rusi, widocznie groźnych, bo w latach 1432 i 1434 przywrócono równość praw bez różnicy na wyznanie, by je po jakimś okresie naruszyć i na powrót uznać. Ta ciuciubabka nigdy już nie miała się skończyć, aż po kres Pierwszej Rzeczypospolitej (kartą prawosławną zagrała z niemiecką metodycznością Katarzyna II). W 1481 r. doszło do próby zamachu stanu, montowanego przez arystokrację promoskiewską, co byłoby nie do pomyślenia za Olgierda i Witolda. Nietolerancja, brak wolności sumienia okazało się czymś nie do uniknięcia w tak pomyślanej federacji. Ale czy istniał inny pomysł? Owszem, lecz na jak długo skuteczny, zdający egzamin z życia? W końcu nie było tak źle, jeśli wiedzieć, ile milionów domniemyanych heretyków i satanistów spalono na stosach gdzieś w Europie. Tutaj też płonęły oczyszczające ognie, ale jakoś incydentalnie jeno, od wielkiego dzwonu, wystrzegając się hysterii.

Mimo wszystkich kolei losu, wielkoksiażęcy Jagiellonowie systematycznie przejmowali jeden po drugim berło Korony Polskiej, tor polityczny z Wilna do Krakowa funkcjonował z rozmachem. Rosła budowla monarchii, na północnych krańcach której nader dobrze się miał Połock, mimo postępującego swego prowincjonalnienia. Dochowały się przekazy o jego handlu z

Poznaniem, z odskoczniami na Rzeszę i Bohemię. Nieprzypadkowo więc wywodzi się z tego miasta sam Franciszak Skaryna, ojciec Renesansu w Białorusi, przekładca i edytor Biblii. Jego biografia dużo nam mówi o tym, jak wyglądały relacje białorusko-polskie w piętnastym stuleciu. Urodzony w ostatniej dekadzie w zasobnym domu kupieckim, gładko ukończył nauki w Akademii Krakowskiej i doktoryzował się w Padwie, w tej samej, w której bywało na studiach ponad pół setki Polaków rocznie. Rusin Franciszak Skaryna stanowi jednakże, jak się wydaje, wyjątek: z Litwy wcale nie bliżutko do podwawelskiej Alma Mater, a cóż dopiero do Italii! Cholernie podrażało to koszty! Inna rzecz, że wybitne jednostki nie pojawiają się na kamiennym odłogu, musi dlań zaistnieć jakieś środowisko intelektualne. Ukształtowało się takowe na miejscu? Jakaś namiastka jego przynajmniej zapewne zrodziła się, skoro młodociany Franciszak, syn Łuki, wyznawał się na koniecznej wówczas łacinie udając się do szkół. Ruskiego niemowy nikt by nie przyjął na semestr. No i skąd takie katolickie samo imię w schizmatyckim Połocku? Zaszuga to któregoś z tamtejszych klasztorów? Źródeł brak, pozostaje chybota liwa rekonstrukcja, a tej ja nie lubię. Wolę pewniki.

Piętnastowiecze unaocznia swoistą równowagę białorusko-polską, dosyć dziwną, zasadzającą się na paralelnym biegu swych dokonań, powolniejszym obok szybszego. To nie mogło trwać w nieskończoność, chociaż Rzeczpospolita Obojga Narodów póki co nikomu się nie marzyła, Gospodarstwo z Królestwem współdziałały ze sobą raczej od czasu do czasu, coraz silniej zawężając się jednak, jako że bogatszy zawsze zobowiązuje biedniejszego, wykształcałszy mniej rozgarniętego. Taka natura rzeczy, i nie ma na to rady. Polska, znalazłszy się w zaciszu osłony ode wschodu dzięki zaprzyjaźnionej Litwie, nabierała obrotów, produkując także tłumy ludzi świątłych; obszarowo niezbyt imponująca, lecz cywilizacyjnie z należytym blichtrzem w przeciwieństwie do swego siermiężnego kontrahenta, niepewnie panującego na niepoliczonych wiorstach międzymorza. To

kapitalna różnica! Przy okazji dywagacji nad czynnikiem przestrzeni — proszę zauważyć, jak z chwilą zapuszczenia się Polaków aż na Dzikie Pola i w niekończące się lasy smoleńskie, wiotczał cios wymierzony przez tę potęgę nadwiślańską. Co innego bowiem inwestować na terenie technologicznie uzbrojonym i zasiedzonym od niepamiętnych czasów, a całkiem nie trzymają się kupy sprawy w okolach bliskich pierwotnym pustkowiom; trzeba pokoleń, zanim da się cokolwiek zrobić z pożytkiem i perspektywą. Jak ingerowanie w przyrodę wymaga ostrożnej dalekowzroczności, także przenikanie się wzajemne państw i narodów nie obywa się bez piekielnego ryzyka. Ale co miało stać się, to się stało, dokonał się paradoks intencji, czyli Polska, sycąc sobą Litwę, wywołała w niej coś jakby kompleks Edypa, bezpieczną bezwolność, kulturalne pieczeniarnstwo, kult kompradorii. Ztracając poczucie własnej mocy, Litwa posypała się i runęła, przysypując Polskę? Czy, może, było to instynktowne wychodzenie naprzeciwko wyczuwanej Rosji, żeby mieć dokąd cofać się za lat dwieście? Nie, tak nie wolno rozumować, głupie to jest. Po prostu mamy tutaj do czynienia z klasycznym trendem, stanem grzania się koniunktury, wrzenia wręcz, wylewaniem się jej z brzegów, niczym wiosennej rzeki, która płynie tędy, którądy znajduje spadek terenu, niższy poziom; nie popłynie przecież pod górę, polski rozlew cywilizacyjny nie mógł zdążyć na poziomy zachodnie, bo to byłoby przeciwne naturze ruchu w przestrzeni i czasie. Cały ten zbywający nabytek w stosunkach produkcji oraz nadwyżki demograficzne szemrały strumykami i ruczajami na Zabuzę, tam, gdzie z górki i przestronniej. W tym tkwi uniwersalna przyczyna zjawisk polonizacyjnych tylko na wschodzie, nigdy natomiast w kierunku Odry i Bałtyku. Mam na myśli ich trwałe ślady, nie zaś takie, że król pruski potrafił wysławiać się także po polsku. Czy nie do uniknięcia było powstanie słynnej frazy: “Litwo, ojczyzno moja”? Artystycznie wyrażającej dwupiętrowość świadomości etniczno-politycznej, spotykanej po dziś dzień. Mickiewicz czuł się Litwinem, ale i

Polakiem zarazem. Tego niepodobna byłoby orzec o jego antenatach sprzed paru wieków. Na ten przykład Radziwiłłowie za panowania Wazów ubolewali w prywatnej korespondencji, że oni, Litwini z krwi i kości, już idiomami polskimi posługują się. Owszem, ale powrót do ruszczyzny niewiele by odmienił, bo mowa ta uchodziła w opinii publicznej za lingua Moskwiczinów. Ja nie mogę obronić się przed sięgnięciem do porównań tu z wieloetnicznymi narodowościami, Szwajcarami albo, może świeższej daty, Belgami, których tożsamość w swej warstwie powierzchownie postrzeganej polega na zaprzeczaniu, iż nie są oni Francuzami, ani Holendrami.

Widzę Reformację w Litwie jako ostatni równy mniej więcej pojedynek dwóch etnosów, białoruskiego z polskim. Przegrany przez nas, niestety. A czy był on do wygrania, choć i na własnym placu? Lachowie mieli jeszcze z kim wstępować w szranki, mając za przeciwników rycerzy ducha tej miary, co Ryhor Chadkiewicz czy Leu Sapiieha, no i nowe prawodawstwo Gospodarstwa z 1588 roku, urzędowo wprowadzające wyłączność starobiałoruszczyzny w urzędach, niedopuszczalność form polskich, ba, wręcz zakaz najsurowszy zajmowania przez Polaków kluczowych posad tudzież nabywania posiadłości, ponieważ kwalifikowano ich do kategorii cudzoziemców. Ostre było to ostrze antypolskie, że wspomnę przy okazji o antytrynitariuszach odprawosławnych, przytłaczających liczebnie w rządzie, zwanym Radą Panów. Ale, ale: skąd tyle historii u tych Litwinów? Nie ustępował szok po Unii Lubelskiej, okrojeniu suwerenności, odcięciu Ukrainy na rzecz Korony; odłączeniu Podlasia. Król Batory pomógł pogonić Iwana Groźnego; Psków odkupił się dwudziestoma tysiącami dziewcząt do rozdania szlachcie w osobistą niewolę, nie pożałował sobie zapłacić tak wysoką pornograficzną cenę za odstąpienie od szturmowania jego warowni. W kilka pokoleń potem Aleksy Michajłowicz wyludni rękoma grabieżczej armii za potopu szwedzkiego całutką Białą Ruś, by uzyskać darmową siłę roboczą przy rozbudowie Moskwy i innych centrów w

rozprzestrzeniającym się carstwie (opierających się mordowano bez ceregieli, zwłaszcza małowartych chłopów). Po tym ludobójczym rabunku palenie Mohylewa przez imperatora Piotra I w Wojnie Północnej zdało się fraszką, ot, ukaraniem nieposłuszeństwa.

Trzeba dostrzegać aspekt kulturalny zdenerwowania hetmanów i kancelarii wileńskiej: polonizmem nasiąkali najbliżsi. Z tym trochę tak, jak z rodziną, w której szacowny ojciec reflektuje się pewnego dnia, że oto dzieci i wnuki porobiły się obcymi u siebie. Upowszechniło się to u schyłku dynastii Jagiellonów, szczególnie za Zygmunta Augusta, niczym francuszczyzna w dobie Oświecenia. Być może wskutek związków z Barbarą Radziwiłłówną, ów idealizujący życie król źle znosił pobyt w Polsce, ciągle stał dworem w Litwie, w końcu obrał sobie siedzibę w Knyszynie, na granicy z Mazowszem, przemyśliwując nawet o ustoleczeniach tej miejsciny... Tam pomarło mu się, w samotności i opuszczeniu; służba rozdrapała wszystko, co dawało się unieść (podobno odarto z sztywnego odzienia i dostojnego trupa).

Tak więc język bardziej rozgarniętej kultury dominuje bezwarunkowo, niczym zalew francuskich rzeczowników i czasowników w angielszczyźnie, którymi ona małowiele nie zachłysnęła się grubo przed Wojną Stuletnią i już nie wyrugowała ich. Żadne wymuszone przeciwdziałanie dokonującej się samorzutnie asymilacji nie przyniesie zamierzonych efektów, bowiem problem tkwi w duszach, a nie w zewnętrznych zachowaniach. Póki nie nastąpi rozwój samoistny, własny, żeby nie błyszczeć odbitym światłem, niczym jakiś Książyc... W dawnej Białorusi taka sprężyna wewnętrzna jednak nie zadziałała. Nie zaistniały społeczne bariery ochronne. Katolicyzm natomiast nie przemówił po białorusku z ambon, najwyżej w jezuickich teatrzykach szkolnych, na pociechę gawiedzi i sztubactwa. Pozostał ekspozyturą polskość i polskich racji. Prawosławie wypadło z gry po Unii Brzeskiej, zaś prądy protestanckie jako jedyne, które zdynamizowały kulturę starobiałoruską, uległy

kontrreformacji. Unityzm w sensie umysłowym właściwie wegetował na gruncie białoruskim, m.in. cierpiąc na kompleks niższości, będąc spychany do roli przedsiönka w kościele “prawdziwej wiary”. Z czterech konfesji, bo tyle zaczęło egzystować w Białorusi — protestantyzm fizycznie zdruzgotano, prawosławie usunięto na margines, unitów w końcu przechrzcił cesarz Wszechrosji; rzymski katolicyzm kwitł nieprzerwanie, z wyjątkiem kilku dziesięcioleci popowstaniowych. Doczekali księza ukazu tolerancyjnego, chętnie przyjmując do swych parafii pokaźne rzesze owych niedawnych greko-katolików, przemocą wcielonych do Cerkwi Rosyjskiej i po 1905 roku nierzadko odżegnujących się od niej... Tak skrótowo, gwoli przejrzystości, jawi się zawiła droga wyznaniowa Białorusinów, przeżywających obecnie powtórkę jak gdyby ze swej pokrętnej historii: w kościołach prawią po polsku, w cerkwiach po rosyjsku, i tylko szerzący się żywiołowo baptyzm — głównie na Polesiu — wolny jest od atawizmu wysławiania się w językach kolonialnych, mnóstwo wydaje i każe w narodowej mowie, niczym kaznodzieja Symon Budny w szesnastym wieku, autor pierwszej w naszej kulturze książki napisanej i wydrukowanej po białorusku mianowicie (“Katechizm”, Nieśwież 1562). Skaryna — przypominam — przekładał i nieco komentował, i prawie nic ponadto.

Pozostaną jeszcze troszeńkę przy owym szesnastym, a raczej na przełomie z siedemnastym wiekiem. Jaki stan rzeczy i spraw Białorusi ukształtował się aż na trzy z naddatkiem stulecia? Już dzieci, zdawałoby się niepokornych, Sapiehów i Chadkiewiczów niechętnie pamiętały o ruskich korzeniach swych prześwietnych rodów, co gwarantowało zasupłanie węzłów Gospodarstwa z Koroną. Chłop nie był brany poważnie. Wyniszczone najazdami miasta miasteczkowiały (żałośnie prezentował się Połock po tylu grabieżach i pożarach, ongiś metropolia dorównująca Krakowowi). Stosunki między Litwą a Koroną wyradzały się w kwestię wewnątrzpolską, i jeśli dochodziło do zrywów separatystycznych

w rodzaju animowanego przez Janusza Radziwiłła czy do klęski niepodległościującego Sapiehy, pod Olkienikami, albo zabiegów księcia Ogińskiego wokół odnowienia Wielkiego Księstwa Litewskiego pod berłem Aleksandra I, to były to czyny lub wyczyny ludzi niemal całkowicie kultury polskiej, ze świadomością jak u Mickiewicza (prowincją Polski określił Białoruś późny romantyk Rypiński spod Witebska, poeta obu języków).

Chyba lepiej nazwać to degeneracją Białorusi. Rzecz jasna, tej bojarskiej, szlachtyzującej się na potęgę! W przedostatnim stadium jej upadku — o dziwo! — wyłoni się odrodzenie narodowe, z którego wychynie typ nowożytnego Białorusina. Przemina wariactwa saskie, z ich obskurantyzmem religijnym i fanatycznymi planami “wytrzebień wiary Ruskiej”, pod którą podciągano również unitów, oraz manipulowanie dysydentami prawosławnymi, z Sanki Petersburga, etc. Dwieście lat — XVII i XVIII ww. — to dwa sędziwe życia matuzalemowe. W procesie kulturowym to jednak ogromny odcinek. Na takiej długości może się wiele wydarzyć, zarówno in plus, jak in minus. Żywotności ducha narodu nie powinniśmy mierzyć narzędziami etnograficznymi. Decyduje książka, pismo, a nie rozśpiewana wieś z debilną szczęśliwością w oczach i kraśnymi dziewczkami przy muzykach. Z ówczesnym voluminem starobiałoruskim było źle i coraz gorzej. Ostatnia bowiem edycja datowana jest końcem Wojny Północnej, kiedy Rosja przebiła sobie bałtyckie okno na świat, a europeizującą funkcję polskiego szpanu w moskiewskich krainach przejęła niemczyzna; szwargotliwi Inflantczycy rozsiedli się w pałacach nad Newą, z zaradnością nuworosy robiąc kariery aż po szczyty w cesarstwie. Rzeczpospolita grzęzła bez opamiętania, aliści jej konanie w kulturze nie dokonywało się w synchronii z usychaniem ekonomicznym. Kulturalność tym się wyróżnia względem gospodarności, że znacznie wolniej dojrzewa i wędnie potem, gnije. Więc z kulturalnością polską nie było tak tragicznie za Sasów jak z ekonomiką, i nieprzypadkowo wrażliwy na intelektualność król Staś miewał z kim obiadować we czwartki.

Księżę poetów języka polskiego, biskup Ignacy Krasicki, elegancko lojalny Berlinowi po zaborze Warmii i Pomorza Gdańskiego, nadal poezjował w najlepsze i bynajmniej nie im Deutschen.

Odniesienia polsko-białoruskie natomiast ukształtowały się następująco: każde żyjątko ludzkie jako tako podkształcone lub całkiem wykształcone samorealizowało się koniecznie z pomocą łaciny albo polszczyzny, zdarzało się że i w cudzoziemskim narzeczu. Zachłanność rosyjska, posunięta w połowie osiemnastowiecza wręcz do dyktatu, zupełnie niwelowała odrębność Litwy, finalnie katalizując pojęcia: katolik-Polak, Litwin jako właściwie też-Polak, bo przeciwstawiający się prawosławnemu Ruskowi... Cóż innego tedy mogło oznaczać stwierdzenie: jestem Litwinem — przy akompaniamencie tej samej liturgii i treści kazań kościelnych i dziejach litewskich spisanych przez koroniarzy albo ryskich Niemców, i wszelakiej literaturze popularnej tylko po polsku, i grobach wspólnych królów na Wawelu, i nawrotach do patriotycznych mów Piotra Skargi, a nade wszystko z potomstwem wychowanym w zacieklej polskości??? W najlepszym razie regionalizm podpaństwa z podstolicą wileńską (rozstrzygnięcia zapadły w Warszawie, owym Paryżu słowiańskim). Podobnie Burgundczyk stawał się Francuzem, nawet wywodzący się z Germanów Alzatczyk, nie mówiąc już o celtyckich Bretończykach... Sprawdza się teza, że państwo głównie wytwarza naród. Ale nie generalizujemy. Pamiętajmy o pozornym dziwołagu historii, kiedy to z jednego narodu rodzi się drugi i bierze się ów noworodek do istnienia obok.

Wielkie Księstwo Litewskie jako twór na wskroś bojarски odeszło w zaświaty, nie do poznania zmieniając swoje en face przed zgonem (Konstytucja Trzociomajowa to uwieczniła). Albowiem Litwa w konfrontacji z Rosją samodzierzcy... Wolne żarty! Co innego zaś, jeśli — cała katolicka moc katolickiej Rzeczypospolitej z katolicką umysłowością i oparciem w katolickiej części globu. To było już coś i nie tak prosto udawały

się Katarzynie II te kolejne rozbiory, pomimo intensywnej propagandy neutralizującej dwory europejskie, momentami finezyjną argumentacją ukazującą istny ciemnogród nad Wisłą i Wilią, barbarzyństwo i antypostępowość (złapali się na to nietuzinkowi Voltaire, Diderot). Masa rozrywanego przez rekinów cielska zajmowała tyle miejsca na mapie politycznej, że, prócz imperium Piotrowego, żadne z władztw nie mogło mu się równać, wykazać się przynajmniej w przybliżeniu milionem kilometrów kwadratowych. Szarpanina potrwała ćwierć stulecia, dostatecznie marudnie, by wszyscy pogodzili się z tym.

Powstanie Kościuszkowskie jak i sama osoba Naczelnika — o czym szczegółowiej przy jakiejś odrębnej okazji — pomogły mi dojść do sedna owego rozdzielenia w świadomości historycznej Narbutta czy Mickiewicza: duma z pięknej przeszłości niepolskiej i jednocześnie gorący patriotyzm polski. Okazuje się być to nie sprzecznością, przypominającą schizofrenię, lecz czymś dającym się objaśnić z powołaniem się na brytyjskość czy amerykańizm, wyrastający wżwyż grubym pniem z korzeni wieloetniczności. Imperialność była u podstaw powstania Pierwszej Rzeczypospolitej, niestety, oraz nieuniknione dla niej zderzenie z Kremlem. Imperia zaś, jak wiemy, są skazane na rozpad, mnożąc narody i państwa, o czym już banalnie wiemy.

Teksty w nowożytnej białoruszczyźnie datowane są w czasokresie epoki stanisławowskiej (Maraszeński, Chraptovicz). Nie zauważamy w nich nawiązania do wielkiej tradycji starobiałoruskiej, posłużono się wyłącznie alfabetem łacińskim w jego polskiej odmianie oraz mową w całości ludową, niczym mazurzeniem w “Krakowiakach i Góralach” Bogusławskiego. Naczągał sentymentalizm, po którym przyszedł wnet romantyzm, kult ludowości, nawet bezrozumu jako odreagowanie na oświeceniowe “szkiełko i oko”. Ta ludomania trochę niechcący wskrzesiła szmat małych nacji Europy, ale to tylko skrót myślowy. Powody, dla których wiek dziewiętnasty nazywany jest wiekiem narodowości są bez porównania poważniejsze, aniżeli

zachcianki literackie w głowach “pod czuprynymi nad pelerynami”. Pobądźmy zatem krzywą w osiemnastowieczu, bo to bardzo ważne. Detale faktograficzne pozostawmy opracowaniom rozwiniętym, a nam wystarczy tutaj wyjawienie prądów naczelnych, definicji niejako. Dzisiejsze białoruskie myślenie historyczne utrzymuje nader zasadnie, iż dalsze trwanie Rzeczypospolitej przekreśliłoby narodziny nowoczesnego narodu białoruskiego. Jego etos coraz wyraźniej zbliżał się psychologicznie ku polskiemu, Białorusią rządził bez reszty Zamek Królewski (znamienny szczegół: słynny Rejtan przybieżał z kresów podmińskich); Polska miała stanąć twardą stopą na Dnieprze i Dźwinie. Dlatego 1772 rok uchodzi wśród naszych za lepsze zło, chociaż wymuszone orbitowanie w stronę olbrzyma rosyjskiego również groziło wynarodowieniem, przeistoczeniem się w lokalny koloryt nowomocarstwa. Amplituda temperatur, zimno-gorąco, daje trzecią jakość w eksperymentowanym materiale. Huśtanie się od polskości do rosyjskości ustało na wskaźniku białoruskim. Ale to znacznie później. Same obiektywne czynniki narodotwórcze nie działają bezwarunkowo: ani osobność językowa, ani ekonomiczna, ani historyczna, co wzorcowo wręcz unaoczniają nam Kaszubi jako potomkowie wygasłej państwowości Pomorzan, która dociągnęła do progu XVII w. (notabene słowacczyzna jest zrozumialsza, niżli kaszubszczyzna).

Przyjrzyjmy się z racjonalnym spokojem wzmiankowanym mechanizmom. Narodowość koniec końców jest... kategorią polityczną, czyli etnicznej zbiorowości musi chodzić o coś takiego, czego nie jest w stanie nikt z rządzących nią zaofiarować dla niej, dać, załatwić. Na przykład lepszego życia, które to — według jej przekonania — znajduje się w zasięgu wyciągniętej ręki, lecz zawadza temu szczęściu obca władza. Skoro interesów katolika w Białorusi, zapatrzzonego w dobrobyt okołowarszawski, znakomicie broniła polska racja stanu, to niby dlaczego powinien był on marzyć o rodzimej suwerenności? To samo dotyczyło jego prawosławnego adwersarza, który, jeśli tylko tego sobie życzył,

wędrował z rodziną na zawołzańskie czarnoziemy, w ślad za Niemcami, i obejmował tam w posiadanie tyle dziesięcin, ile chłopska dusza zapagnie, korzystając przy tym z umorzeń podatkowych, należnych przy zasiedlaniu pustek pośród koczowniczych Baszkirów. Słowem, Dzikie Wschód w wersji Dzikiego Zachodu... Oczywiście, odnosi się to do czasów powłaszczeniowych. Po zawałeniu się robotstwa feudalnego, zniknięciu, wspólnego dla katolika i prawosławnego, serdecznie znieawidzonego wroga, jakim zawsze jawił się pan dziedzic na włościach ze zgrają hajduków oraz ekonom na koniu ze sforą psów-ludojadów. Skończyło się sieczenie dupy na gumnie, rozprawianie panien młodych (prima noctis), dziwowanie, że chłop potrafi gadać i cokolwiek kapować, itd. Pamięć o tym, ledwie wczorajsza jak gdyby, walnie przyczyniła się do nieprzewidzianie szybszej przegranej Powstania Styczniowego, któremu carat łącno przyklepił gębę buntu darmożjadów po dworach, owych fircykowatych gwałcicieli wsiowych ślicznotek. Bano się zmartwychwstania Polski jak jasna cholera! Do tego stopnia, że szlachcic Kalinoński, stojący na czele rebelii na Litwie, głosił potrzebę rzezi nobiles, co prawda w łagodniejszym wariacie narodnickim, bez odwoływania się do doświadczeń Jakuba Szeli ze sławetnych tygodni galicyjskich. Wzywał do topora, który, jeśli ma się zatrzymać, to nie inaczej jak — co najwyżej — nad kolebą z paniątkiem, ponieważ malutkie toto i da się przerobić na ucziwie pracującego na swój chleb powszedni człeka. Stale zapominamy o tym kontekście dziejowym przy analizowaniu interesujących nas zjawisk.

Ruch narodowy bez własnego Piemontu będzie telepał się w ognie sąsiadów. Dzisiejsi Litwini posiadali takowy w Litwie Pruskiej; Berlin nie rezygnował z dawnych wpływów poinflanckich, a na Żmudzi ocalała spora enklawa protestancka, skutek niegdysiejszych dewiacji konfesyjnych jednego z Radziwiłłów. Ukraińcom patronowały Austro-Węgry, przyznając im satysfakcjonujące fory we Wschodniej Galicji; Wiedeń żywił

skromniejsze zamiary, wystraszony rusofilstwem Czechów (“Jednego husa dla Rusa” — na Boże Narodzenie) słusznie obawiał się słowianofilstwa także w Lembergu-Lwowie i w Krynicy z Łemkami, czemu mieli zapobiec moskalożerni kultywatorzy osiągnąć Siczy Zaporoskiej, przy okazji dając klapsa niespokojnym Lachom. Słowaków podpuszczano dyskretnie przeciwko budapeszteńskiemu partnerowi w tym dwukoronnym cesarstwie, bez przerwy podszturchując zabiedzonych górali Górnych Węgier do półbójnickich ruchawek. Łotyszy i Estończyków wraz z Finlandią pogłaskiwał Petersburg, mając w tym swój cel dokładnie odwrotny, aniżeli ministeria na Lindenstrasse. Skoro rozpolitykowana Europa obeszała się bez niepodległej Ukrainy, tym bardziej, że jej rękoma dałoby się przytopić Rosję Radziecką, to i marsz Piłsudskiego na Kijów na niewiele się zdał. Hetman Skoropadski dysponował niebłahymi szansami, z tym jednakże, iż potrzebował solidnego doinwestowania oraz nacisków Zachodu na białych generałów, by nie bruździli kijowskim narodowcom spod znaku Tryzub. Tak się nie stało. Bano się germanofilstwa Ukraińców, wolano nie pruć Rosji, utrzymać ją w rozbuchanych granicach jako przeciwwagę przyszłym Niemcom; krzywiono się na odrastanie Polski, zawadzającej w planowanym ładzie powojennym, mniej więcej podług filozofii Kongresu Wiedeńskiego z 1815 r. Wynajęto gen. Wrangla, by zrobił porządek w Moskwie, łatwowiernie licząc, że wystarczy tutaj porządnie przygotowana kampania letnia. Bezmyślnie wyrzucone pieniądze. Sztab armii Polaków zachował się rozsądniej, doskonale wiedząc o tym, że rozgromienie bolszewików skończyłoby się co najwyżej przywróceniem Kongresówki (skasowano Królestwo Polskie w roku 1888). Białogwardziści, bazujący na Krymie, nie uzyskali zatem ofensywnego wsparcia braci-Słowian z Nadwiślańskiego Kraju.

Litwa, Łotwa, Estonia ze swymi kilkutyściami siłami zbrojnymi wybiły się na niezawisłość dzięki niemieckiemu zainteresowaniu ich irrendentą, czyli ze względów jak wyżej.

Komu z kolei była potrzebna białoruska samoistość? Owszem, dla Warszawy, ale na przeciąg paru miesięcy; nie docelowo, lecz taktycznie zaledwie. Kładł się na to czarny cień od Pierwszej Najjaśniejszej.

Białorusini wyłaniali się z odmętów etnograficzności wskutek odpełzania powalonej Polski, ustępującej pola zaborczemu Rosjaninowi. Okazywało się przy tym, że “za Polszczaju” miano się znacznie lepiej; bałagan, bo bałagan, lecz bez koszarów i Sybiru... Dalszych plusów dałoby się wymienić pokaźną ilość, stąd idealizowanie minionego na łamach powstańczej “Muzyckiej Praudy”. By nie nudzić streszczaniem praw ogólnych, zawiadujących zjawiskiem tworzenia się i upowszechniania świadomości narodowej, ograniczę się li tylko do specyfiki białoruskiej. Otóż — mało kto wie, że sygnalizowana już nowożytna kultura tego narodu formowała się jako katolicka i jeno w ponad stulecie potem, za demokratyzującego społeczeństwo kapitalizmu przetransformowała się mentalnie w prawosławną dominantę, aliści nigdy do reszty. Jej dwuwyznaniowość jest prostym odbiciem utrwalonych stosunków w tak podzielonym konfesyjnie etnosie. Warstwy majątne i oświecone posiadały z reguły metryki kościelne, natomiast wszelki plebs i siermiężny gmin, jako nic nie znaczący drzewiej, obsługiwała cerkiew. Nic nadzwyczajnego nie przytrafiło się także wokół umacniania się w rzymskim katolicyzmie chłopskich okoli białoruskojęzycznych w Nadniemniu i na Wileńszczyźnie, u prapoczątków których dostrzegamy kudłatych Bałtów, chrzczonej jeszcze przez Jagiełłę i sławizowanych przez napierającą z domen połockich kolonizację. Średniowiecze można obwiniać o szereg grzechów głównych, lecz w żaden sposób nie da się doszukać w nim szowinizmu językowego. Elitarność administracji i oświaty, bardzo uniwersalistycznej zresztą, nie potęgowała zaników asymilacyjnych w dołach stanowych. Tzw. narzecza barbarzyńskie w tych stronach, a i w górnym biegu Narwi również, notowali w swych kajetach kaznodzieje po sam schyłek

pańszczyzny, z ciekawości, z racji praktycznych. Niektóre gryzmoły przebadano w laboratoriach lingwistycznych, wykrywając ze zdumieniem ślady leksykalne pruskich i jaćwieskich także uciekinierów, przygarniętych na te ziemie przez Mendoga. Takie to było powolne przetapianie się w jednię żywiołów na Czarnej Rusi, by nie zagłębiać się niepotrzebnie w późnorzymskie rekonstrukcje wzajemnego nakładania się fal celtyckich i ugryjskich, zanim to wszystko rozplynęło się pod ciśnieniem słowiańskim. Dzisiejsze narody Europy — z wyjątkiem ugrofińskich — lokują swą praojczyznę sprzed pięciu tysięcy lat między środkowym Dunajem a Morzem Czarnym.

Nie oracz od sochy i wołów kreślił poema i pacykował malowidła, czasami świątka jeno wystrugał o grubych rysach twarzy pogańskiej lubo przyspiewkę ułożył, mając dobrze w czubie na weselu po powrocie wielce skonfundowanej młoduchy z łapczywego prima noctis u Wańkowiczowskiego dziada we dworze. Odwieczny ruch elit, tektonika mas społecznych wyniosła niziny ku wyżynom pełniejszego bycia. Dopóki nie przepadła bieda z nędzą, a polskość i rosyjskość pobrzmiwały na wysokich tonach z towarzyszeniem zapachu kadzideł tudzież perfum frantów, białoruskość musiała przeć do góry, niczym korzenie i trawa poprzez skorupę asfaltu. Walka losów zawsze ma ideowe zabarwienie. Narodowość odradza się tam, gdzie nie ma alternatywy dla poprawy żywota na tym padole łez i wyrzekań. To nieprawda, że Mazurów pruskich zgermanizowała Biblia protestancka, bo wersyfikowano ją również w polszczyźnie i litewszczyźnie, fragmentami zaś i dla ostatków Jaćwingów na Sambii. Nie przez grę przypadków największy poeta mowy żmudzkiej, pastor Donelaitis, objawił się mianowicie w Litwie Pruskiej, gdzieś koło Olecka czy Gołdapi... Niemczenie poszło jak z płatka odtąd, kiedy “gbur” międzywojenny stał się ku swemu miłemu zaskoczeniu obiektem zabiegów cywilizacyjnych narodowych socjalistów, usiłujących zatrzymać wyludnianie się Krainy Wielkich Jezior, skokowy przyrost ogólnie ujemnego

ciągle salda. Repolonizowanie powyżwoleńcze przebiegało w aurze ponurej groteski, krzepiąc jeno tubylców upewnieniem się, że optowanie za Polską to żaden interes. Dzisiaj obserwujemy tam dziesiątki towarzystw Niemców z niegermańskimi nazwiskami... Przemawiająca do mnie analogia.

Z wyprzedzeniem wyrażam gotowość przyjęcia zarzutu o to, że "gdybam". Że gdyby imperium Polaków nie przegrało, to niby nie mówilibyśmy o Białorusinach jako takich. Jednakże absolutnie pewne jest to, że ilekroć Belweder miał możliwość realnego poparcia sprawy białoruskiej, ani razu nie skorzystał z tego na skalę wykraczającą poza doraźne korzyści z manewru wyzyskującego nasz polonofilizm. Orientacja niepodległościowa w ruchu Młodej Białorusi, gdy ten ruch wreszcie wykuł się w trzy pokolenia po litewskim albo i więcej po ukraińskim, była dziełem ideowców rzymskokatolickiej proveniencji w pierwszym rządzie, a więc nie mogła zapaść się z kretešem. Mimo że równie ochoczo zadeptywana niebawem przez negocjujące ze sobą obie potęgi nad naszymi głowami, tę znał Newy z tą nad Wisłą. Zwyciężyła koncepcja pochodzenia narodnickiego, autonomiści spod znaku rosyjskojęzycznego "Gomonu", organu wyodrębnionej z "Narodnej Woli" Partii Białoruskiej w latach 1881-84. Moskwa, oczywiście, nie dałaby się namówić na postrzeganie problemu Białorusi, jeśliby miała do czynienia wyłącznie ze spadkobiercami linii Ignacego Hryniewickiego, animatora idei białoruskiego fragmentu świetlanego jutra zespołu równych i wolnych ojczyzn, odgruzowanych pośród ruin cesarstw i policyjnej przemocy. Gabinet komisarzy Lenina też nieprędko połapał się w korzyściach z uwzględnienia postulatów Białorusinów, ale jednak. I nikt, prócz nich, chociażby spiący się kajzerowski Berlin, który monitowała samotna Białoruska Republika Ludowa, naiwna swym niemowlęctwem. Piłsudski powiedział, jak to on niezmiennie zgryźliwie, że nie ma z kim się układać spośród obywatelstwa byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego. Ano tak. Czy to dziwne? Fakt i tyle. Tylko że jakie siły napracowały się na zaistnienie

takiej właśnie, a nie zgoła odmiennej rzeczywistości?! Trudno natomiast zaprzeczyć, że było mu z kim konferować — na przykład — na Ukrainie, z wcale nie marionetkowym Petlurą, i co z zadzierzgniętego sojuszu wynikło (?). Delegacja Dąbskiego w Rydze (1921 r.) zobowiązała się wobec komisarza Joffego do internowania orężnie występujących “samostijników”.

Kultura białoruska, ta w swym nowoczesnym kształcie, zwłaszcza literatura charakteryzowała się za swej młodości odpolską filialnością, okrom niektórych rzeczy anonimowych, które wyszły spod pióra bywalców salonów petersbursko-moskiewskich. Jakżeby inaczej, skoro jej twórcy — niemal bez wyjątków — wzrastali w aurze polszczyzny, to nic że kresowej, śmieszkiej królewiaka. Coś ich wołało do autochtoniczności, na pewno i Mickiewicza pospołu z Narbuttem. Zakwalifikowani do dwupiętrowości polsko-białoruskiej, przygotowali oni grunt, na którym bujnie wykłosiło się po 1906 roku wraz z pierwszym regularnym czasopiśmie “Nasza Niva” rzeczywiste piśmiennictwo narodowe. Anton Lavicki, pisujący pod pseudem — Jadvihin Sz. — wspominając swe uczęszczanie do szkółki prywatnej, prowadzonej we dworku przez córkę Wincentego Dunina-Marcinkiewicza, uważanego za ojca literatury białoruskiej, zwraca uwagę na kompletnie polską atmosferę w tej zasłużonej dla białoruskości rodzinie. Amputowani przez Historię do kadłuba klasy chłopskiej z wytokami na włościańską, nie zachwycaliśmy się ani Drugą Rzeczpospolitą, ani władzą ludu za kordonem stołpeckim. Na zachód od tej granicy rozbioru Białorusi fermentowało sytuacją zatkanej butelki z młodym podpiwkim; nieustępujący wytrzeszcz z niedotlenienia gospodarczego, materialnego wyniszczenia pobratymczych mniejszości, jak raportowano o tym krótkotrwałemu rządowi Władysława Sikorskiego z lat dwudziestych. Za drutami zaś krasnoarmiejskich pograniczników zainicjowano niesłychaną rozprawę fizyczną ze wsią, kończąc to dzieło unicestwienia w przeddzień wybuchu drugiej wojny światowej. Refleksja mądrego po stracie.

W międzywojniu polityka Warszawy korelowała się z tym, co dobrego lub złego Białorusinom wyczyniano w Miensku (Mińsk). Przykręcano tam śrubę, to i tu dawano im w kość w imię krzepnięcia polskiego stanu posiadania na wschodzie. Nie do wiary, ale wzorem stalinowskim projektowano okolo milionowe przesiedlenia, zapełniając powstałe luki kieleckimi “jędrusiami”. Popychano Białorusinów w tamte objęcia, podbudowując tym samym zasadność wymierzonych w nich restrykcji: “Wszyscy oni bolszewicy, psiakrew!” Okupacja hitlerowska unaoczniała aż do wyrazistości, jak osamotnieni jesteśmy, a trzeci chętny do naszej ziemi strzelał i palił bez oglądania się na cokolwiek. Armia Krajowa nie rezygnowała nawet z przecinka w tekście Traktatu Ryskiego. Identycznie reagowała Moskwa, mając na uwadze swoje, traktat zawarty przez Ribbentropa z Mołotowem. Partyzantów od tych i od tamtych żywił i nocował zaszczytny muzyk, któremu zabierano nierzadko i życie, o czym przejmująco pisze Tadeusz Konwicki. Dążenia nacjonalne wtedy prą do przodu, jeśli się ma odskoczyć dlań, zaplecze w sąsiedztwie. “Za Białorusią nikt nie stoi” — wyrzekł mi przedwczorajszy Białorusin-katolik, którego dziad chadzał ze Stanisławem Bułakiem-Bałachowiczem, a na dzisiaj tzw. prawdziwy Polak, wydymający policzki na moje “ruskie” gawrozenie z nim na miasteczkowym chodniku.

Po tylowiekowym przebywaniu w monstualnych obcęgach warszawsko-moskiewskich w tym strategicznie czułym obszarze co pozostało z wcale nie tak małej Białorusi? Trzeba powiedzieć, że niewiele, bardzo niewiele, jeśli winienem się wypowiedzieć tak, jak to widzę i odczuwam. Cud to nie mały, że w ogóle ocalała ona! — wykrzykują anglosascy analizatorzy i ja ufam ich pracowitej rzetelności. Funkcja społeczna kultury białoruskiej zmarginesowała do ułamków, a jej europejski już poziom pomaga o tyle, że naprawdę cyrkuluje ona w krwiobiegu międzynarodowym, bez pośrednictwa rosyjskojęzycznej transmisji. Książka białoruska w języku białoruskim leży na ladzie księgarskiej, niczym obcojęzyczna, natomiast też sama po

rosyjsku jest rozchwytywana. Per analogiam Irlandii ze speak English?

Bez książki niemożliwa jest kultura, to nasza bezdyskusyjna wiedza. Jeśli tak, to Białoruś kończy swe pierwsze tysiąclecie właśnie groźną dla jej dalszego żywota infekcją. Wierzę, że ją przetrzyma. Jak wykaraskała się z kresowości, tak wyłubuda się z wtrącenia jej w gubernialność.

KAMUNIKAT.ORG

PRZEZ CZIERY KONFESJE

Czytelnik polski zazwyczaj nie zdaje sobie sprawy z faktu tysiącletnich dziejów państwowości Białorusi, nierozłącznie kojarzących się z dawnymi początkami chrześcijaństwa na ziemiach Krywiczów i Drehowiczów. Na wschodzie Słowiańszczyzny ukształtowały się wówczas trzy mocarne ośrodki — Połock, Nowogród Wielki, Kijów — w orbicie których przebiegał proces formowania się znanych nam dzisiaj narodów pobratymczych. Jak wszędzie w ówczesnej Europie (pogłębiające się zacofanie przyszło w te strony później), naturalnie, trwały walki między nimi o władztwo imperialne; w rodzaju analogicznych aneksji Polan za Sudetami i Karpatami, przemiennych wypraw wojennych — jak nie z Gniezna, to z Pragi — dla zawładnięcia całym zachodem słowiańskim. Metropolia naddnieprzańska upadła najwcześniej, głównie pod ciosami eksplodującej potęgi Mongołów. Ziemia Połocka zaś nieprzerwanie rosła w siłę i dobrobyt, skutecznie broniąc swej niezawisłości. Także i Nowogród Wielki, ta przedziwna republika kupiecka, podporządkowująca sobie wszystko i wszystkich, co było i żyło na północ od Tweru i Pskowa. Moskwa jeszcze miała być założona dopiero przez Jurija Dołgorukiego na tych kijowskich peryferiach terytorialnych.

Historia religijna Białorusi zasadza się na wielowiekowym konflikcie między pierwotnym tu prawosławiem, a wchodzącym na jego domeny rzymskim katolicyzmem. Zaczątkami owego zarzewia są lata 1385-86, kiedy to w wyniku porozumień na zamku w Krewie książę Jagiełło objął tron Królestwa Polskiego, zawierając związek małżeński z sukcesorką tego berła, węgierską królową Jadwigą. Pomijając racje polityczne, o których jest mowa w innym miejscu, nowy monarcha zobowiązał się solennie do przeprowadzenia chrztu pogańskich prowincji Wielkiego

Księstwa Litewskiego, tj. Żmudzi i Auksztoty. Urzeczywistnienie tej akcji okazało się niełatwym przedsięwzięciem, rozciągającym się na dziesięciolecia. Bruździł Zakon Krzyżacki, który żył właśnie z ratowania dusz barbarzyńców, przesuwając się w głąb Nadbałtyki. Miał przy tym dalekosiężne ambicje, które tylko zastopowała na czas jakiś wiktoria Jagiełłowa pod Grunwaldem.

Cóż więc oznaczał ów chrzest Litwy, jak to popularnie się określa. Przede wszystkim wyznaniowe rozszczepienie Gospodarstwa, z natarczywie forsowaną tendencją do społeczno-politycznego uprzywilejowania jego świeżokatolickiego fragmentu, dotychczas pozostającego w prymitywie przedchrześcijańskim. Wiara grecka na tych dziewiczych terenach ledwie kiełkowała, niewiele wychylając się poza elitarność w stronę zabobonnego gminu.

Cele panów małopolskich, grających pierwsze skrzypce na dworze wawelskim, nie były sezonowo krótkowzroczne. Zastanawiając się nad nimi, dosyć spojrzeć na kształt granic Królestwa, obgryzanego od zachodu i północy, żeby wyrozumieć, że stawką musiało być samo jego istnienie (zaprzyjaźnione, zdawałoby się, Węgry również urwały sobie z niego nielichą połąć galicyjską, wyszarpiętą potem z powrotem przez tęż Jadwigę). Zachodziła zatem pilna konieczność zakotwiczenia na stałe przy sobie Wielkiego Księstwa Litewskiego, nieźle nadającego się na partnera, bo wyraźnie słabszego, przy czym zagrożonego przez tego samego przeciwnika, korzystającego z poparcia przerażonej niedawną dżumą, niczym karą Bożą, rycerskiej Europy. Jak każde, dobrze obmyślane działanie, tak i to charakteryzowało się paroma ważnymi aspektami, bez blednawej jednoznaczności. Prócz pożądanego sojuszu, zasilającego militarnie, uzyskiwało się nie lada argument w rozgrywkach na forum międzypaństwowym, a mianowicie sukces chrystianizacyjny na ogromną w zestawieniu z przechwałkami kawalerów mieczowych skalę!

No, ale koszula zawsze jest bliższa ciału. Czy się tego chce, czy nie, nasadzanie katolicyzmu gwarantowało na przyszłość

przekształcanie się unii personalnej, która mogła przecież wygasnąć wraz ze śmiercią króla jegomości, w formy już trudne do momentalnego przekreślenia. Uświadamiał to znakomicie wiekowy wówczas wielki książę Witold, dwukrotnie usiłujący koronować się na odrębnego suwerena (1428, 1430 r.) i założyć dynastię Kiejstutowiczów, porzuciwszy oczywiście ortodoksję. Papieski Rzym insygniów nie pożałował był, jak i niegdyś Danielowi halickiemu, aliści łeb sprawie ucięła dywersja krakowska, ratując rację stanu. Malborkowi, rzecz oczywista, również zależało na odseparowaniu się Wilna względem Krakowa, aktywnie wyręczając hospodara w meandrach dyplomacji.

Katolicyzm litewsko-żmudzki, będący na razie najbardziej widocznym skutkiem fety krewskiej, tak czy owak czerpał na całego korzyści ze swego wyniesienia wobec prawosławia, co dobitnie zostało potwierdzone z biegiem lat Unią Horodelską (w 1413 roku); uszczęśliwiającą koroniarскими herbami ileś tam rodów starobojarских, czyli swoistą adopcją. To nie był akt charytatywny. W polityce nikt i nic nie daje komukolwiek za darmo. W zamian należy się lubo zobowiązująca wdzięczność, albo wręcz lojalność, osuwająca się w podległość. Liczono się z odreagowującym krzepnięciem schizmy, nastania w jej elitarnych kręgach poczucia krzywdy, która wreszcie przeistoczyła się w rozruchy. Po zgonie Witowta Wielkiego (Witolda) doszło do wojny domowej w Litwie, zainicjowanej do spółki z przeciwnikami łączenia się z Polską. Sztandarową postacią frondy stał się, w gorącej wodzie kapany książę Świdrygiełło, operujący z prebiałoruskiego Połocka. Pokonanie rebeliantów nie było takie pewne, więc czym prędzej przywrócono im równe prawa. Nie pierwszy i nie ostatni raz, niestety; ta polityka “kija i marchewki” rozkwitła z czasem w najlepsze. Póki co jednak udekorowano wielkoksiążęcą mitrą następnego z Kiejstutowiczów, Zygmunta, który wyblagał ją u Jagiełły w marcu 1434 r. na postoju w Krynkach, po udanych łowach w Puszczy Białowieskiej. Ten nowy półsuweren, z charakterem nienajlepszej próby, dokładnie

odpowiadał, zresztą, zamiarom wytrącenia z gry dynastów Kiejstutowych: od chwili jego zamordowania w 1440 roku — w nigdy nie wyjaśnionych do końca okolicznościach — Litwa przestała mieć równoległego monarchę, bogacąc zasadniczo definicję jedyne go tytułu królewskiego.

Strach przed Moskwą miał zdominować dopiero przyszłe stulecia. Bojarstwo czuło się rześko i emocjonowało się zazdrośnie swobodami szlacheckimi w Koronie (tłumaczono na starobiałoruski Statuty Wiślickie). Zwiększała się atrakcyjność Polsczy. Zachód w ogóle promieniował, szczególnie po podbiciu przez Turków osmańskich ostatnich Bizancjum, tej formalnej resztówki Cesarstwa Rzymskiego. Ów zwrot dziejowy na kontynencie zaowocował Renesansem, to prawda, ale zapominamy zarazem o tym, że odtąd prądy rozwojowe zatraciły swą dwukierunkowość, przeobraziły się w zachodnie wyłącznie, od regionów przy południku zerowym poczynającymi się. Ich kinetyka wytracała się gdzieś w stepach za Dnieprem i w nieprzejrzanym lasach smoleńskich.

Świdrygiełłę wkrótce pobito, w jakiś rok po wydaniu przywilejów królewskich znoszących nierówności majątkowe, tudzież publiczne, nałożone na nobiles orthodox. Jak wiemy, z dotrzymaniem dostojnych przyrzeczeń różnie bywało, toteż notujemy kolejne, nie mniej gwałtowne wysiłki na rzecz przywrócenia Wielkiemu Księstwu Litewskiemu jego dawnego, jeszcze Olgierdowego oblicza. Koncypowano wariant awaryjny, na wypadek niepowodzeń: połączenie ziem do linii Berezyny z Wielkim Księstwem Moskiewskim. Na czele najgłośniejszego spisku znaleźli się kniaziowie Olelkowicz, Holszański, Bielski. Należało już na zimne dmuchać po tej gigantycznej aferze politycznej, ale jakoś nie przejmowano się tym zbyt. Mimo że Kreml tu i ówdzie zabierał się do odbijania strat terytorialnych, ciągle był jednak do stosunkowo łatwego spacyfikowania.

Jako tako ustatkowane w owej dwubiegunowości konfesyjnej piętnastowiecze tutaj dobiegało końca, a wraz z nim i czarno-biała

oczywistość interpretacyjna w sporach religijnych. Zbliżały się komplikacje, o jakich nie śniło się polemistom z obu obozów duchownych. Papiestwem zachwiała mieszczańska Reformacja, prawosławie natomiast nieomal całkowicie zdmuchnął z Białorusi unityzm. Tego i tego spodziewano się wcześniej, za husytyzmu oraz unii florenckiej, chociaż miała ona wówczas cokolwiek inny wymiar.

Do dziś nie rozplątano zagadki żywota Franciszka Skaryny z Połocka, “sławnego grodu”, jak podkreślał on w swych rekomendacjach odautorskich. Postać ta zajaśniała na naszym firmamencie w dobie Odrodzenia. Doktor nauk po studiach w Krakowie i Padwie podweneckiej, zaufany burmistrza Wilna Jakuba Babicza, który między innymi łożył na wydanie jego starobiałoruskiego przekładu Biblii. Całości on nie przetranslował, ale dwadzieścia trzy księgi ukazały się w latach 1517-19, szybko i edytorsko ładnie wydane w Pradze Czeskiej akurat. Następnie przeniósł się Skaryna do stolicy nad Wilią, instalując się wraz z drukarnią w kamienicy dobrodzieja. Interes kręcił się na pełnych obrotach, a do spółki z bratem Iwanem zajmował się Franciszek w dodatku komercją na skalę międzynarodową (wiadomo o ich faktorii w Poznaniu). Wiemy również, że przez pewien okres pełnił obowiązki lekarza nadwornego oraz sekretarza miejscowego biskupa rzymskokatolickiego. W 1530 roku — dzięki niemieckiej pedanterii stwierdzamy to dokumentarnie — udał się ów rzutki Rusicz do Królewca, w gościnę do nowinkarskiego księcia Albrechta. Próbował też geszeftów bezpośrednio w Moskwie, skąd ledwie uszedł z życiem, jako że nie poznano się tam na przewagach wynalazku Gutenberga i pożytkach płynących z przybliżenia nauk Chrystusowych pojęciu prostaczków. Po czym wyemigrował na stałe do rozruszanej umysłowo Bohemii, gdzie przypuszczalnie czuł się bezstresowo; objął posadę królewskiego botanika. Daty zgonu możemy domyślać się podług zachowanych szczątków wiadomości o wizycie w tejże Złotej Pradze syna Symeona, przybyłego w 1552 roku w sprawie spadkowej. Więcej

szczegółów nie potrzeba, by postawić kilka zasadniczych pytań, dotyczących niejasności w życiorysie tej intrygującej osobowości, w której, niczym w soczewce, skupiły się kapitalne problemy wyznaniowe i szersze na interesującym nas ówczesnym areale.

Ponieważ żadna z orientacji konfesyjnych w obecnym życiu duchowym Białorusi nie jest w stanie zlekceważyć zasług narodowych Franciszka Skaryny, nie ustaje dyskusja nad jego przynależnością wyznaniową. Z powodu imienia onego najmniej angażują się w to roztrząsanie sporu katolicy; prawosławni węższą w nim przechrztę i rekonstruują wcześniejsze nazwanie się podobno Georgijem; protestanci egzegeci akcentują jego pogwarki w wielce przyjaznej atmosferze na dworze lennika pruskiego i rzucające się w oczy unikanie przez niego kleru. A pewien badacz angielski udowadnia zachwyty u Skaryny... kabałą. Złoty Wiek wywołuje szmat rozterek u historyków przedmiotu, ale, wnikając w owoczesny klimat społeczny, nie zdziwiłbym się, jeśli wyjaśniłoby się ostatecznie, że każda z konwersujących stron ma niejaką rację: urodził się w prawosławnym domu kupieckim szanowanego w mieście Łuki; udając się do szkół zetknął się z indoktrynacją katolicką; wędrując po Europie — sekretarzował królowi Danii? — przejął się ideami reformatorskimi.

Nie mamy podstaw wątpić, iż gołowasy kupczyk przebrnął przez nauki na wszechnicy jagiellońskiej prawidłowo, w przepisany terminie uzyskując stopień bakałarza. To uprawnia do wniosku, że uprzednio w miarę przyzwoicie władał łaciną, będącą językiem wykładowym, jak i polszczyzną, bez której nie miałyby czego szukać w środowisku koroniarских żaków. Kultura Polaków musiała zapuścić swe korzenie wśród ruskich bojarów i mieszczaństwa. O chłopstwie długo nie będzie mowy, ono nie liczyło się w państwie (od rzeczownika “pan”, pamiętajmy). Następuje wyjazd do Italii, w sam gąszcz pośredniowiecznej europejskości. Doktoryzuje się w Padwie z medycyny i filozofii (artium). Daleki od ortodoksji, z ciągotami do zyskującej na modzie lingua vulgaris, gdy Kuria Rzymska zaciekle zakazuje

dopuszczania mowy ludu do sacrum (dostało się Skarynie i od Cerkwi, w której Pan Bóg nie rozumiał inaczej, aniżeli po starocerkiewnosłowiańsku). Nie przybył tu on z kompletnej głuszy, jeśli wiedzieć, że Białą Ruś odwiedził czołowy husyta Hieronim; że w kwitnący maj 1422 roku wkroczył do Królestwa Czech korpus ekspedycyjny Zygmunta Korybutowicza, którego entuzjastycznie obwołano królem na Hradczanach, dla kontrowania naporu germańskiego (koronę tę proponowano początkowo Witoldowi, i byłby ją przyjął, gdyby nie oznaczało to popadnięcia w izolację w świecie polityki).

A jeszcze i taki kontekst: drukarstwo cyrylickie, to 1491 rok. I natychmiast dodajmy: Kraków, gdzie się ono zrodziło. Na Litwie, otóż to, zostało podjęte po upływie całego pokolenia, w trzydzieści lat później. Zjawilo się z kierunku praskiego, co bynajmniej nie umniejsza prymatu w tym względzie grodu podwawelskiego. Zaskakuje ów cykl pokoleniowy. Z wyniesieniem się Skaryny z Wilna znowu zalega cisza wokół druków ruskich. Dokładnie w 1553 r. patronuje założeniu oficyny w Brześciu książę Mikołaj Radziwiłł “Czarny”, ale to należy wiązać z antytrynitaryzmem, zwalczaniem papistów.

Szymona Budnego nie ma potrzeby specjalnie prezentować inteligentnemu czytelnikowi. Aliści domniemam, iż mało kto słyszał o tym, że my, Białorusini, zawdzięczamy temu Mazowszaninowi — z bliżej nie ustalonych Bud drobnoszlacheckich — inauguracyjną w naszej historii nacjonalnej oryginalną książkę całkowicie napisaną w mowie starobiałoruskiej. Mam na myśli “Katechizm”, w 1562 roku wypuszczony spod prasy w Nieświeżu. Po ukończeniu teje krakowskiej Alma Mater, zgłębiał Budny teologię podobno w samej Bazylei. Potem, w protestanckiej szkole w Wilnie, wykładał katechetykę wcale nie po polsku i nie po łacinie; trudnił się też białorusińskim kaznodziejstwem. Stali za nim Kryszkowski i Kaweczyński, niebawem Kiszkanie. Niczym Voltaire po dwu wiekach, korespondował Budny ze śmietanką intelektualną

Europy, śląc polemiczne epistoły i w ogóle czyniąc mnóstwo zamieszania, między innymi doskwierając ideologom prawosławia niezbyt zrozumiałym dla nich zarzutem izolacjonizmu, braku żywego podejścia do wykładni wiary, odgradzania się murem od osiągnięć nauki, prądów umysłowych, usychania w skamielinę. Białoruszczyznę traktował jako fundament, bez którego nie da się zbudować przyszłości kulturalnej dla tego kraju. Nawet Skaryna nie okazał się tak kategoryczny w tym względzie, proroczy. Zdumiewam się jasnowidztwem Szymona Budnego, albowiem Białoruś rzeczywiście tylko traciła, nie zabiegając o swą tożsamość i przechodząc na służbę u sąsiadów. To, co dzisiaj jest banalne, wtedy było odkryciem, zapewne zbyt wyprzedzającym możliwości absorpcji społecznej.

Jak przemodelowała się naówczas sytuacja wyznaniowa w Wielkim Księstwie Litewskim? Zaczniemy od suchej informacji, że na dwudziestu jeden świeckich senatorów Gospodarstwa aż szesnastu deklarowało się różnych odmian protestantami, trzech trwało przy prawosławiu i czterech przy katolicyzmie. Koniecznym wydaje się następujący komentarz do tych danych modelowych: heretycy rekrutowali się głównie **nie** ze środowisk przykościelnych bynajmniej, częściej z otoczki jedynowierców kniazia Ostrogińskiego.

Dopóki istniała Litwa jako względnie niepodległa, złączona z Polską prawnie nie więcej jak osobą władcy, postępy zachodniego chrześcijaństwa w niej miały nader umiarkowany przebieg. Zapuściwszy się pod Orszę w 1514 roku czterokrotnie liczniejsza armia współwyznawców moskiewskich doznała straszliwej porażki od rycerstwa kroczącego do boju pod tym samym krzyżem, lecz z Pogonią na chorągwiach. Zakrzepłą poniekąd harmonię dwuwyznaniową w epoce zygmunto-wskiej naruszyła od wewnątrz dynamiczna swą młodością Reformacja, jak to widać już gołym okiem. Zjawił się poniekąd trzeci do litewskiego stołu... rozpychając się łokciami... Bójka wisiała w powietrzu. Oglądano się na Koronę, gdzie stosunek sił nie był tak skomplikowany i

wynosił jeden do jednego. Jeśli Kontrreformacja w Polsce przywróciła status quo, to u jej partnera wywołała skutki wręcz katastrofalne! Wyczyszczając Białoruś z heretyków, w swej masie odprawosławnych, totalnie popchnęła ich w katolicyzm, dający barwy ochronne, jednocześnie sprzyjając animacji Unii Brzeskiej. Kuria Rzymska mierzyła znacznie dalej, bo w Moskwę, ale skończyło się na daniu ognia na niedużą odległość. Tak to na przełomie szesnastego i siedemnastego stuleci zawirował tłumek konfesji, do którego przystał na czwartego nowoobjawiony unita.

Ów wrzący kocioł ostudzała upowszechniająca się nań kulturalność lechicka, cementująca odruchowo stany generalne. Lew Sapieha, od ośmiu lat już Leon podług nomenklatury kościelnej, jako osoba głęboko myśląca i wywyższona na naczelne stanowisko Kanclerza WXL, przewidując obstawiał na umieszczeniu w ciśnionym w 1588 roku Statucie Gospodarstwa osobnego artykułu, nakazującego posługiwanie się pisarzom ziemskim “literami i słowy ruskimi”. Ale kogo to wzruszało po rządach batoriańskich i świetnych warunkach pokoju, wynegocjowanego na zrezygnowanym i goniącym w piętę Iwanie Groźnym?! Zakładano szkoły jezuickie tutaj i gdzie indziej, aż w estońskich Inflantach Polskich (Dorpat). Państwowa ochrona języka narodowego na tym formalizmie się urywała, prawdziwy szacunek do niego zostawiając wolnej woli rodzin i społeczności. Toteż gwoli asekuracyjnego raczej bycia w porządku wobec tutejszego prawa, dokumenty wystawiane w kancelariach ornamentowano na wszelki wypadek formułami statutowymi, coraz nieudolniej w związku z zanikaniem znajomości ruszczyzny. Z takowym papierem, w którym treść istotną podawano w mowie ogólnie rozumianej na całym obszarze Rzeczypospolitej Obojga Narodów, powołanej do życia przed półwieczem, śmiało wybierano się na Podlasie i do Małopolski, na Pomorze i na Ruś ukraińną.

Oto wiele mówiący drobiazg: w praktyce własnoręcznych podpisów — poświadczających, kwitujących, potwierdzających — cyrylica definitywnie wychodziła z użycia za schyłkowych rządów

sapieżyńskich. Księstwo utrzymywało się jako tako na swoim nie inaczej jako człon Rzeczypospolitej, którą niepowstrzymanie wypełniała całkowicie Polska, wybitnie wpływając w konsekwencji na zrodzenie się zaczątkowej europeizacji Rosji przedpiotrowej (konwersowanie w polszczyźnie było przejawem wykwintu na komnatkach kremlowskich). Polonizmy i obce wyrazy popłynęły szerokim strumieniem do akwenu starobiałoruszczyzny, przenikając do słownictwa potocznego. Potęgowały to zjawisko niebłahe czynniki dodatkowe, niespodziewana koniunktura gospodarcza, kiedy to po znanej rzezi Nowogrodu Wielkiego za sprzeciwianie się Groźnemu dalekosiężny handel hanzeatycki przeorientował się na szlaki białoruskie, oraz trend kolonizacyjny z ludnej Korony na Zabuzę i wypustoszone przez Moskwicina okola nad Dźwiną, w Mścislawskim, na Smoleńszczyźnie po części, także we wschodnim pasie Inflant właściwych.

W tym miejscu warto kategorycznie sprostować niedobry mit, obciążający wzajemne stosunki polsko-białoruskie. Jest czymś niezaprzeczalnym to właśnie, że wprost huraganowa katolicyzacja warstw wyższych wyznania prawosławnego dokonała się nie w piętnastym i nawet nie w szesnastym wiekach, lecz w apogeum Kontrreformacji, która bez porównania ostrzej następowała na Litwę w imię nie wyłącznie racji nawy państwowej, lecz również tłamszenia schizmy. Na ile urastało to do zagadnienia o wielorakich skutkach, niechaj świadczy niesławnej pamięci Pokój Grzymułtowskiego, mocą którego interesy religijne obywateli nie odstępujących od wiary greckiej przekazano legalnie w sferę zainteresowań władz carskich. Padł błąd strach na majątnych uparciuchów, nie wyzbytych wyobraźni ryzyka bycia oskarżonym o zdradzieckie działania na szkodę Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Przy czym autorzy z sąsiedztwa, jak i nasi jakoś dosyć zgodnie akcentują to czarne tło, nie wydobywając prawie wcale tego, że panowie litewscy grubo wcześniej porzucili Cerkiew na wznoszącej się fali, zdetonowanej przez Lutra. Przyjąwszy tą drogą pryncypia wyracjonowanego chrześcijaństwa zachodniego, najogólniej

określając, na dobre odłączyli się od mistyki wschodniego. Przejście zaś na łono Kościoła rzymsko-katolickiego nie jawiło się już czymś szokującym ani ich, ani ich otoczenie familijno-towarzystwie, bowiem był to w końcu jeno spór w “rodzinnej Europie”, konfliktowanie z papieżem — Ojcem Świętym (na temat którego Ruś od dawna wypowiadała odrębne, tj. nieprzychylnie zdanie). Inna rzecz, że musieli oni pierwiej niebagatelnie nasiąknąć polonizmem, który owemu nowinkarstwu w tym regionie kontynentu wyznaczał czy — dokładniej — delimitował zasięg przestrzenny (Ruś Moskiewska nie doznała go).

Oddziaływanie Cerkwi prawosławnej w Litwie ulegało redukcji, momentami w tempie żywiołowym, w krzepnięcie unityzmu. Przeklinany przez wielu rok 1596, który dał formalny początek tej sprawie, sfinalizował procesy drażące kler od schyłku Średniowiecza, a co najmniej od epizodu florenckiego. Wbrew obiegu opinii, Wawel z Watykanem bynajmniej nie wysuwali propozycji nie do odrzucenia, marudzili nawet z przykłaśnięciem denerwującemu przedsięwzięciu władków. Rozszalała się jednakowoż obustronna batalia propagandowa, wspaniale ożywiająca życie teologiczne w Litwie i na oderwanej od niej po 1569 roku Rusi z Podlasiem. Literackie, ale i umysłowe rezultaty jej są nie do pogardzenia, mimo że ta konfrontacja idei zakończyła się przekonywającą i szarą kapitulacją dyzunitów (exemplum: Melecjusz Smotrycki o wszechstronnej umysłowości). Parochowie zyskiwali posłuch u tłuszczy dzięki swej przystępności i kulturowej identyfikacji z nią. Słowo białoruskie, nie bez ponagłania co prawda z wyżyn episkopatu, przemówiło wreszcie z ambon. Nie obawiano się ubiegłowiecznego stereotypu, że co wydrukowane jest z pominięciem starocerkiewszczyzny natychmiast pachnie herezją i luterstwem.

Idąc dalej — nie doceniamy tego, co pozostawił po sobie wiek XVII. Poplątanie z pomieszaniem w duchowości Białorusi sięgnęło wprawdzie granic chaosu, aliści wielkopański w wymiarze społecznym protestantyzm tutaj bezwarunkowo poddał się

katolicyzmowi za królowania Wazów, uosabiających się z nim. Prawosławny zaś los sunie ku dołowi nie tak znowu prosto, lecz zygzakami. Klęskę heretyków przypieczętowały decyzje polityczne, pobierane na piętrach majestatu Jego Królewskiej Mości. W przypadku schizmy, jak widać, powodowano się o wiele mniej jednoznacznymi intencjami; sam termin ów przeto fasowano oględniej z arsenału raczej zmagających filozoficznych, wzbraniając się na tym kierunku dość zasadniczo przed łatwizną presji urzędowych. Tę inność dobieranych środków podyktowała — kto wie, czy nie głównie? — marginesowość obiektu cerkiewnego w tym stanowym państwie, obsługującego już za Reformacji niewiele więcej ponad plebs i chłopstwo pańszczyźniane. Pochłaniająca to unia konfesyjna wraz ze wszystkim dobrodziejstwem inwentarza niczego na dobrą sprawę nie przemieniła w jakimkolwiek sensie. Głowę daję, że w tysięcznych parafiach ciemni wierni nieprędko przyuważyli jakoweś różnice w celebrze, a jeśli nawet, to łacniej w tonie kazań, w morałach ich końcówek. Okolice z komponentem rzymskokatolickim niewzruszenie pograżały się w kompleksujących pyskówkach typu “czyja wiara jest prawdziwsza”. Pospółstwa nie uwznioślano z ritus rusticus do ritus dominus, bo i po co? Na Żmudzi — per analogiam — rozstrzygano ów problem, wznosząc po dworach kościółki prywatne, zakazując wstępu doń śmierdzielom w kozuchach.

Badania archiwalne niezmiennie wskazują na progresujące nasycenie osobowości kleru unickiego kulturą i świadomością polską, aż do przedśmiertnych życzeń pochówku na cmentarzyku przykościelnym. Degeneracja Księstwa w prowincję mocarstwa oraz towarzyszące temu karlenie litewskiej ruskości, to ważne parametry, które wymiennie dopasowywały się do szerzącego się w nim poczucia drugorzędności, w duchu zasad zależności zwrotnych. Summa summarum za króla Stasia, na przedprożu “wieku pary i elektryczności”, w którym rodziły się narodowości według obecnego wyobrażenia, literatura nowożytnych

Białorusinów przysłała na świat z metryką czysto katolicką. O pisarzach, których chrzcili paroch, a tym więcej o proveniencji ortodoksyjnej ani słycho w annałach Litwy z kurcząca się suwerennością. Darujmy sobie mózół grzebania się w świadectwach na tę okoliczność, dosyć zajrzeć do puścizny epistolarnej dekabrystów — światłych oficerów rosyjskich, odbywających służbę w zaborczych garnizonach: dla nich zachodnie kresy Rosji urywały się po przejechaniu dyliżansem Smoleńska. W Witebsku przekomarzali się oni zalotnie z “płowłosymi unitkami” w tłumie ulicznym; zapuszczali się do tamecznych posiadłości obywatelstwa ziemskiego, na flirty z imponującymi im ogładą towarzyską panienkami, tańcząc z nimi obligatoryjnego poloneza. Swobodnie władając zbawienną wówczas przy internacjonalnych kontaktach francuszczyzną, chętnie też pobierali “lekcye yęzyka polskyego”, szpanując potem nim przed kolegami pozbawionymi tak eleganckiej okazji.

Nikomuni ani w głowie postało nawiązywanie do ubiegłowiecznej rzekomej przemowy sejmowej smoleńskiego kasztelana Iwana Mielezki, przepisywanej i przekazywanej sobie ongiś z rąk do rąk (sam jej bohater zmarł w 1622 r.). To nie mógł być jego autentyk, owa wyśmienita proza niewykrytego anonima. Otóż: przeróżne nieszczęśliwe przypadki nawiedziły Hospodarstwo wraz z utratą przez nie samodzielności. Utyskuje pono Mielezko, iż Polacy zawlekli tu amoralność, rozwiążłość obyczajową, wręcz kurestwo; kult złotego cielca, zakłamanie; odwieczna mowa przodków ginie w poniżeniu. Rzewnie wspomina on Zygmunta Starego, który “Niemców, niczym psów, nie znośił, i Lachów za ich dwulicowość takż nie cierpiał, zaś Litwę i Ruś ukochał ponad wszystko”. Krażyło jednocześnie w odpisach przesłanie do Obuchowicza, co poddał Smoleńsk Moskwinowi. Cacuszko literackie, wysadzone tropami barokowymi. Treść zbliżona, charakter stylu takż, więc krył się za tym pisarz nie byle jaki. Kto zaczął? W przedstawionych wydarzeniach rozeznawał się w najdrobniejszych detalach, wykazując perfidne zaprzękanie się wspomnianego wojewody

agresorowi, potrząsającemu kabzą. Deliberował: "... siedem lat dobywaliśmy w kozuchach Smoleńsk, a ci mądrale we futrach sobolich w czternaście niedziel przefrymarczyli". Nie pytaj teraz o żadną prawdę, boć bałamuctwo wszędy panoszy się, do rządów dorwali się ludzie pozbawieni poczucia ojczyzny, lekceważący stateczność, dobierający się do białogłów naiwnie gościnnych gospodarzy, "wybałuszając się na nóżkę pani domu, niczym sokół na zdobycz, i jeno miarkując, gdzieby uszczypnąć słodkiego mięska bojaryni".

Gęsto w tym żalów zaśniedziałego konserwatysty i zwyczajnego niezrozumienia logiki dziejów, lecz w swej warstwie satyrycznej jako żywo przypominających opisy u Krasickiego zabaw frankomanów, fajerwerki, od których zajęty się płomieniem gumna...

Polonizacja wykastrowała świadomość bojarsko-szlachecką z wielkiej rodzimej tradycji cyryliccko-ruskiej. W nieco łagodniejszej formie dotknęło to i szeregowie duchowieństwo grekokatolickie (z oczywistych względów). Trafiający się w parafiach kronikarze sławili męczeńską śmierć przewielebnego Kuncewicza, nie mając zielonego pojęcia o rzeczywistym przebiegu feralnego incydentu w Witebsku. Nadal lotny na umyśle, acz grzybiejący Lew Sapieha błagał wręcz owego narwanego biskupa, by się zmytygował. Rozsądniej zrejterował przed zbiegowiskiem dyzunitów wileńskich metropolita Pociąg: zamiast niepotrzebnie paść trupem, postradał raptem dwa głupie palce, cięty szablą przez łeb. Całkiem inna historia, bez krzty trywialności, ze złotoustym arcywładką Smotryckim, z którym nie radził sobie sam Piotr Skarga, wymowny entuzjasta Unii Brzeskiej. Jeden drugiemu dorównywali oni wykształceniem na uniwersytetach zagranicznych, temperamentem twórczym, płodnością pisarską. Kraków akurat przeżył swe moce, by osadzić na tronie kremłowskim królewicza Władysława, więc mądry antagonistą jezuitów przezornie umknął chyłkiem do miejsc świętych na Bliskim Wschodzie, gdzie, dysputując z patriarchami zawile kwestie, nieoczekiwanie dla

samemu sobie złożył broń. Przejście na stronę unii cerkiewnej argumentował także poprawieniem szans na równouprawnienie żywiołu rusińskiego. Nie wyglądało to na wybieg taktyczny, skoro papież Urban VIII dał publiczny wyraz swym sympatiom dla nowych poczynań Smotryckiego. Niby trzymało się to kupy, aliści Rzym nigdy nie przejmował się zbyt popieraniem swych bizantyjskich poddanych duchownych, żeby nie rzec: traktował ich po prostu z ubliżającą obojętnością. Ta podręcznikowa dzisiaj wiedza nie była przyjmowana wtedy do akceptującej wiadomości, szokując ideowych animatorów jednoczenia się braci w Chrystusie. Genialnie przewidział to Atanazy Filipowicz, “nauczyciel ruski” na dworze kanclerskim. Być to bardzo może, że dokładnie wiedział on, gdzie stoją konfitury, przetarłszy się w świecie wielkiej polityki, przygotowując mianowicie do misji dywersyjnej rzekomego carewicza Dymitra, osławionego Samozwańca. Rzeczona unia znalazłaby perspektywy, naturalnie, jako religia dominująca w niepodległym państwie Litwinów, w przeciwnym razie natomiast jest skazana na wegetację. Gwałtowny do granic choleryczności, redagował on mnóstwo suplik. Z przyzwolenia marszałka Opalińskiego zabrał Filipowicz głos na walnym sejmie, niczym na puszczy wołając: “Jeśli nie wykorzeniecie owej unii przekłetej, a wschodnią Cerkiew prawdziwą uspokoiacie, to szczęśliwych lat żywota zaznacie!” Władysławowi IV zagroził gniewem Bożym. Kilkakroć przebywał na więziennym wikcie i opierunku, jak też w celach mniszych. Pożyłby jeszcze, gdyby nie powstanie Chmielniczego. W szale szpiegomanii żołdacy Massalskiego pochwycili go, biorąc na piekielne męki, by wyznał, że dostarczał kozakom “jakieś listy i proch”. Rozstrzelany w październiku 1648 roku pod Herszanowiczami w tymże Brzeskiem. Jak widać, dawny to i poręczny sposób na pozbycie się z życia gromadzkiego niewygodnych osobników, irytujących swą przenikliwością. Brakło, niestety, rozważa Jagiellonów.

Uważny czytelnik trafnie zareplikuje mi, iż po zawarciu Unii Lubelskiej Wielkie Księstwo nie wyzbyło się atrybutów suveren-

ności, liczącego się partnerstwa, zachowując własną skarbowość, wojsko, prawa, które m.in. stanowiły o bezwarunkowej tolerancji wyznaniowej. Tak to było, ale na jak długo!? Są tacy badacze i publicyści, którzy koniecznie chcą postrzegać Starobiałorusinów jako chronicznie zarażonych moskalofilstwem. Złudzeniem to jest, wynikającym z niedouczenia, powierzchownego ślizgania się po garbacznach historii. Wojacy carów nie dla rozrywki wyrzynali każdorazowo i ogołacali Białą Ruś, zwłaszcza jej naddnieprzańskie dzielnice, gdzie bywało, że w rozległym powiecie witebskim ocalało półtorej setki muzyków i posesjonatów. Cenniejszy lud rzemieślniczy pędzono w niewolę, powodując á rebours gromadne ucieczki z powrotem w ojczyste strony. Nigdy nie udało się strażom Carstwa Moskiewskiego zatamować także pospolitego zbiegostwa do Rzeczypospolitej za chlebem, dla dostatniejszego bytowania. Imperatorowa Elżbieta żądała w 1754 roku uchwalenia przez sejm warszawski przymusowego wydania około miliona osób. Kierownik polityki zagranicznej hrabia Panin — o kilka dekad do przodu — pretensjował wobec Stanisława Augusta w przedmiocie trzystu tysięcy uciekinierów chłopskich, o szacunkowej wartości w rublach na sumę 915.000.

Mit o skłonności ziem ruskich do zlania się z Cesarstwem Rosyjskim zaaranżowała dopiero Katarzyna II, polecając swym służbom dyplomatycznym posłużenie się ustaleniami niewydarzonego Pokoju Grzymułtowskiego, czyli wzięciem pod opiekę obywatelstwa uciskanego za swe niezłomne prawosławie. Dla zgrabności zabiegu zainspirowano odnośną petycję tubylców do Sankt-Petersburga, na ośrodek tej pożądanej dysydencji upatrzywszy Słuck, domenę radziwiłowską, w której pieczołowicie dochowano wierności Statutowi Litewskiemu, zgodzie międzykonfesyjnej, przez co unityzm koegzystował tutaj jedynie z najbliższymi nieprzyjaciółmi cerkiewnymi (katolicy byli tam ledwie w ilościach śladowych).

Dekadencja zbliżała się nieuchronnie. Katalizując ją wykwyty paranoiczne uzewnętrzniły się za wczesnych Sasów. Gdzieś wokół

roku 1717 rozgłaszano w Polsce “Projekt Polaków przeciw Rusi”, postulujący nasilenie zmagania z innowierstwem, każąc dopatrywać się zbawienia w kompletnej latynizacji. Podkreślano, że każdy szlachciura, zarówno z racji pełnionych czynności na określonej posiadzie, jak i z pobudek zupełnie prywatnych winien maksymalnie dołożyć starań, aby wylikwidować w Rzeczypospolitej wszelakie odmienności niekatolickie. Zalecano jednocześnie ostrożność, unikanie brutalizmu wprost, operowanie środkami moralnymi najbardziej, takimi właśnie jak kompromitowanie i ośmieszanie “wiary ruskiej i języka” poprzez groteskę, satyrę, by konstruować, stopniowo, w odczuciach społecznych stereotyp ruszczyzny jako nieodłącznego rysu ciemnoty ludzkiej i odrażającego zacofania. Gdyby jednakowoż nie dawało to oczekiwanych rezultatów, ten rehot ironiczny i pukanie się w czoło, należało tedy przystępować w danej mieścinie do widowiskowego palenia ksiąg “z bukwami”, a wolnych mieszczan, nie kwapiących się do neofityzmu, zamieniać w chłopów pańszczyźnianych.

Zarówno inicjowanie unii, jak i jej późniejsze gruchotanie, odbywało się odgórnie. Metropolitę Pocięja sprzed ćwierćtysiąclecia zastąpił w tym odwrotnym dziele również metropolita, nazwiskiem Siemaszko. Po dwustu czterdziestu trzech latach, w 1839 roku. I co ciekawe, w podobnej atmosferze niewielkiego zainteresowania tą akcją góry państwowej; w arystokratycznych eszelonach władzy centralnej przy równoczesnej nadgorliwości ogniwi dołowych. Siemaszko, jak i niegdyś Pocięj, do znudzenia wyrzeka w swych pismach na brak zrozumienia dla swego “wiekopomnego czynu”, koniecznej pomocy, wsparcia materialnego etc. Było mu chwilami trudniej, aniżeli jego antenatom złotowiecznym: spotykały go bolesne afronty w ministerialnych gabinetach petersburskich, brzydzących się służalczą uniżonością petenta wyniosłych hrabiów i książąt wielkorosyjskich. Niedobitki unickie w Litwie dotrwały do Powstania Styczniowego, zaś niektóre specyficzności obrzędowe

praktykowano przez inercję do ostatnich dni dziewiętnastowiecza. Ponieważ do likwidacji tego wyznania użyto aparatu policyjnego i administracyjnego, represje wywołały sprzeciw ludności, zapiekle pamiętanie o gwałtach dokonywanych na sumieniu jednostki. Liberalizowanie się wkrótce caratu, po 1905 roku, zostało przez wielu wykorzystane do zgłoszenia akcesu do rzymskiego katolicyzmu (np. na Podlasiu odzęgnywano się od prawosławia całymi parafiami, około 1908 roku). Paradoks tej sytuacji historycznej polega na tym, że tępy rusyfikatorski zaborca, zamiast coś zyskać dla swych intencji, notował ku swemu zaskoczeniu same ubytki: polonizacja areálu etnicznie białoruskiego święciła niesłychane triumfy, w zestawieniu z którymi cytowany “Projekt Polaków...” wydawał się dziecinną igraszka. Nikt tak nie spolonizował Białorusinów, jak carat akurat!

Cztery konfesje, po kolei lub równolegle, przeorały mentalność Białorusina, by, zatoczywszy olbrzymie koło, wszystko to wróciło dziś do stanu wyjściowego jak gdyby. Czyż nie za dużo zawichrowań, jak na ten sam naród pozbawiony broniącej go państwowości? I czy nie dziw, że uchował się on jeszcze ze swą tożsamością, co prawda obcykaną niewąsko, ale jednak?

One — znowu wracają! Baptyzuje się Polesie i Grodzieńszczyzna. Między Homlem i Mińskiem wychynał archipelag parafii unickich. Katolicyzm przywraca swe zasoby poprzednie. Prawosławie na powrót znalazło się w defensywie.

Jak nigdy nic nie powtarza się identycznie, tak i ta nowa czwórkonfesyjność Białorusi charakteryzuje się kapitalnym wyróżnikiem — na tle minionych perypetii kolonialnych: patriotycznością bogoojczyźnianą i pokojem religijnym. A to dlatego głównie, że jest już nareszcie własne państwo, przez nikogo nie kwestionowana ojczyzna: Republika Białoruś.

MOJA MAŁA OJCZYZNA

Pojęcie małej ojczyzny utożsamia się z najpierwszą pamięcią (miejsce urodzenia może tu nie mieć nic do rzeczy). W wieku dojrzewania krajobraz tej pamięci szybko ulega poszerzeniu, z reguły za sprawą kontaktów rodzinno-koleżeńskich: bywania u krewnych, a u schyłku dzieciństwa i na progu dojrzewania — u kolegów szkolnych. Coraz częściej za horyzontem landszaftu wzrastania. Znamienne, że prawie nic nie pozostaje na ekranie wspomnień z wycieczek szkolnych do dalekich miast czy wakacyjnych obozowisk, z wyjątkiem może trwałego osadu tęsknoty za domem matczynym... Zatem, mała ojczyzna dzieje się głównie w sferze uczuciowej. Matryce racjonalne wynurzają się grubo później.

Termin “mała ojczyzna” implikuje istnienie “dużej ojczyzny”. Tę pierwszą, zaczątkową, ma się raz na zawsze, niczym owo miejsce urodzenia. Druga natomiast jest kategorią wybitnie ideologiczną, kojarzącą się z przynależnością państwową. Nie da się zmienić faktu, że moje, Sokrata Janowicza, przyjście na świat i wzrastanie weń działo się w Krynkach. Wówczas, w 1936 roku, powiększyłem liczbę obywateli Rzeczypospolitej Polskiej. Po trzech latach moją dużą ojczyzną stał się ZSRR, a po kolejnych dwóch latach znalazłem się w Nowych Prusach Wschodnich, czyli w III Rzeszy Niemieckiej, anektującej te ziemie. Ciągłe biegając po tych samych zaułkach swego miasteczka lubo kąpiąc się w pobliskiej rzeczulce Krynka, nigdzie nie ruszając się poza wzniesienie Prafitka na skraju horyzontu, odbyłem jak gdyby parę podróży zagranicznych... Różne ojczyzny pochłaniały moją jedyną małą.

Tyle z grubsza na płaszczyźnie zawłaszczeń terytorialnych, zasadniczo ważnych, bo decydujących o takim a nie innym losie jednostkowym, będącym funkcją losu społecznego.

Wróciła Polska w te strony i moja mała ojczyzna stała się jej integralną częścią, po raz wtóry zresztą (nie mówimy o Pierwszej Rzeczypospolitej, bowiem federacyjny jej człon litewski zahaczał o obrzeża dzisiejszego Białegostoku).

Gdybym był Polakiem, a moja mała ojczyzna rdzennie polską, wówczas komplikacje w snuciu refleksji o niej okazałyby się znacznie prostsze. Tymczasem do aspektu narodowościowego dodać jeszcze muszę aspekt konfesyjny, ową peryferyjną smugę prawosławia. Ileż w rezultacie tego wypadła dźwigać obciążeń: Białorusin — obywatel państwa polskiego, prawosławny — dwuprocentowy szczątek w ogólnie katolickim narodzie; plebejusz wreszcie, czym nie należy się u nas szczycić. Nie będę wygrzebywał zgoła osobistych uwarunkowań, starcza aż nadto wyliczonej triady: Białorusin — prawosławny — plebejusz (albo i gorzej: wieśniak!).

Moja mała ojczyzna ma wydzwięk zdecydowanie dramatyczny! Wynika to ze znanej definicji psychokulturowej: patriotyzm rodzi się na progu domostwa ojcowskiego. Nie pokochawszy zapyziałych Krynek — nie pokocha się Polski. Odzegnując się od najpierwszej pamięci, popada się w kompleks sierocości, skąd bliżutko do janczarstwa duchowego, wykorzenia i zagubienia na obszarach życia. Dotykam więc nawet waloru zdrowotnego? Ależ tak! Kryneckie okolice przodują w krajowych statystykach rozpaczliwych samobójstw i chorób psychicznych.

Psycholodzy wiedzą, że pamiętanie rzadko sięga poniżej trzeciego roku życia. Z września 1939 roku utkwily w mym mózgu dwa mgnienia: hałaśliwie jadące po bruku ulicy Sokólskiej sowieckie czołgi, które musiały na mnie wtedy zrobić piorunujące wrażenie, oraz zapłakani z radości Białorusini, sąsiedzi, obrzucający tankistów bukietami kwiatów z ogródków panińskich. To urośnie z czasem do miary symbolu w uczuciach. A symbole, jak wiadomo, z trudem poddają się racjonalizacji. Środowisko rodowe nigdy nie jest uświadamiane samoistnie, lecz zawsze w opozycji do obcości, najpierw poza kręgiem familijnym.

Gdyby nie prędko następujące po sobie wojny, owo zderzenie z innością nie byłoby tak szokujące. O Polakach ledwo słyszałem. Byli nimi ludzie z sąsiedztwa, tacy sami jak i my, nędznie wegetujący na karłowatych gospodarstwach i posługujący się tą samą mową. Tyle tej różnicy postrzegałem w nich, że w niedziele i święta udawali się na nabożeństwa do kościoła, zamiast do cerkwi. Prawdziwe zadziwienie natomiast wywoływali Rosjanie (czy też zrusyfikowani Białorusini), nasyłani przez centralę mińską do służby w administracji, szkolnictwie oraz w organach ścigania. Matula przyjęła do naszej chaty ruską lokatorkę, rudowłosą Anię, nauczycielkę, do której “smalił cholewki” jej kolega Szaternik, srogi brunet. Bałem się go wprost alergicznie, a to z dwu powodów: gadał w mało zrozumiałym mi języku, a także wziął sobie na ambit nauczenie mnie czytania i pisania. Była to przedziwna nauka, jak to teraz rozumiem: literki i teksty białoruskie, zaś sam pedagog po moskiewsku obcojęzyczny. Oj, polało się mych łez!

Rosyjskość zdominowała wszystko, nawet rozkręcające się wywózki na Sybir i błądny strach przed kołchozami. Mówię o sobie, cztero- i pięciolatku. Bo wnet zwała się na nas kolejna obcość, niemiecka, wymiatająca tę wrześniową, drugowojenną. Wówczas dopiero zacząłem kontaktować z polskością, początkowo emanowaną przez siejącego przerażenie, mazurskojęzycznego Prusaka Schatenberga, a wkrótce przez wszelkich tłumaczy amtskomisarza, żandarmerii i Hilfspolizei; także w półlegalnej szkółce prowadzonej przez grono uchowanych z przedwojnia pań nauczycielek z ulicy Grodzieńskiej. Działały zarazem agendy białoruskie. Z dookólnych lasów na dobitkę wyciągały się macki partyzantki sowieckiej, bazującej w miasteczku na cywilnych pozostałościach osiadłych tutaj ludzi radzieckich. Okupacja wyrzuciła niewyobrażalny w dzisiejszej dobie konglomerat białorusko-rosyjsko-polsko-niemiecki z dodatkami ukraińskimi w postaci licznej policji posiłkowej z Komisariatu Ukrainy, usuwając jedynie rozkrzewiony do niedawna komponent żydowski, który zanikł, zanim dane mi było odbierać świat. Makaronizm odzywek

u rówieśnych mi, przedwcześnie dorastających dzieci da się scharakteryzować następująco: białoruszczyzna uchodziła za normalną w codziennym bytowaniu, rosyjski nadawał się do cerkwi i konwersacji z Panem Bogiem, polski znakomicie dowartościowywał jednostkę w jej chętkach wywyższenia się ponad pospólstwo, po niemiecku pisano podania do różnych "amtów" lub listy do mężów i ojców w niewoli gdzieś w Saksonii albo w Prusach; ukraiński pasował do anegdot. Niemal pięciojęzyczne indukowało schizofreniczne rozszczepienie jaźni, a w praktyce kończyło się to tym, że w miarę przyzwoicie nie potrafiono posługiwać się żadnym z wymienionych języków; z wyjątkiem może białoruskiego, którym wyręczano się z braku środków leksykalnych w którymś ze szpanowanych aktualnie.

Wielonarodowe oddziaływanie na jednorodną etnicznie białoruską masę autochtoniczną, mające miejsce w dobie wielkich wojen, musiało charakteryzować się naciskami głównie siłowymi; wpływy kulturowe w takich sytuacjach stawały się zjawiskiem wtórnym, przez jakiś czas zupełnie nieistotnym. Wchłaniano minimum leksyki niemieckiej, żeby móc wyrozumieć żandarma. Posyłano dzieci do szkoły polskiej, aby zapewnić im poręczniejsze poruszanie się w dalszym świecie. Objaśniano nawzajem sobie niezrozumiałe rusycyzmy dla potrzeb konfesyjnych. Wielu umiało po żydowsku. Nie zabiegano o ukraińszczyznę, cień Ukrainy bowiem nasuwał się na te połacie sporadycznie i nieodłącznie w towarzystwie Niemców. Starania o białoruski natomiast zawsze kwitowano zdumieniem, jako że nikt nie miał problemów z pojmowaniem go, a przydatność tej mowy ojców jakoś nigdy nie wykraczała dalej chlewów i pól, no, lasów oraz rynków w targowe czwartki. Pragmatyzm chłopski nie cenił idei narodowej, nie widząc w niej szansy na poprawienie bytu całej klasie społecznej. Pewne wzięcie miała polskość w otocze przykościelnej, ze względu na długo trwające zagrożenie rosyjsko-prawosławne.

Ojczyznę stanowiły: dom, matka, ojciec, brat, ciotki, wujkowie, obejście, pies podwórzowy, kury, owce, krowa, łąny

zbóż, łąka, cerkiew, wesela, chrzciny, pogrzeby, koledzy (potem koleżanki), wieczornice, zabawy na pastwisku, horror folklorystyczny. I tysiąc innych przedmiotów oraz sytuacji, nigdy zaś posterunek policji czy szkoła albo urząd jakowyś, które eksponowały tę drugą, narzuconą, przychodzącą wraz z oddziałem zbrojnych.

Lecz biegły lata, przybywało ciała, ducha i rozumu, trzeba było myśleć o życiu, i wtedy zaczynała rosnać wprost w oczach (właśnie) ojczyzna ideologiczna, państwowa. Nie za bardzo zabiegająca nawet o twe uczucia, serce. Przełom lat czterdziestych i pięćdziesiątych pozostawił po sobie w Krynkach największe spustoszenia. Doszło do znanego w socjologii exodusu ludności do miast, zwłaszcza młodzieży podążającej do szkół (bez najmniejszego zamiaru powrotu). Wspominam ówczesne autobusy PKS i pociągi; nieodmiennie kojarzą mi się one teraz z migawkowo zapamiętaną ewakuacją wojenną, pierwiej Sowietów z rodzinami; potem tłumnie wycofywali się Niemcy, za Stalina wlokąc za sobą kilometrowe tabory kolaborującej z nimi wszelkiej maści ludności z dawnych kresów i znad cichego Donu. Uciekłem i ja. Nie na Śląsk czy Pomorze, ale całkiem blisko, do ogromniejącego Białegostoku, w którym dzisiaj mieszka nieomal co drugi mieszkaniec Białostoczczyzny. Typowo kolonialny rozrost aglomeracji, metropolia i busz, afrykanizacja.

Znalazłszy się jako uczeń technikum w Białymstoku, chorobliwie zatęskniłem za Krynkami, przypłaciwszy to początkami gruźlicy. Odkryłem, nieprzeczuwany wcześniej, paradoks małej ojczyzny: tkwiąc w niej, nie lubi się jej... Przydaje się więc oddalenie. Nareszcie rozumie się poetę i jego słowa: *Litwo! Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie...*

Nie przypuszczałem, że w stosunkowo nieodległym Białymstoku wszyscy mówią po polsku. Nie przypuszczałem także, że nikt tutaj nie orze ani nie sieje. Praca w fabrykach i w przeróżnych zakładach wyglądała mi na udawaną, mało potrzebną; szacunek budziły w pierwszej kolejności sklepy spożywcze i

mordziaste w nich sprzedawczynie, elektromonterzy włączący na słupy z przewodami, usmoleni mechanicy i ślusarze, może jeszcze krawcy... Chciało się zostać nauczycielem, bo taki nic nie robi, gada ciągle to samo, a pieniądze bierze podobno wcale grube. A tak w ogóle żyje się w mieście nieporównanie łatwiej, lekko i przyjemnie. Zjeżdżając na święta do rodziców, mój rocznik kurdupli niedożywionych na tyle podciągnął się na stacjach do wysokości słusznego wzrostu, że wywołał panikę u matek, nie nadążających z szyciem nowych ubrań ze zgrzebnego materiału (krosna w domostwach łomotały w przyspieszonym tempie). W białostockie noce śniła się ojcowizna za smugą lasów supraskich i, jednocześnie, obawiano się jej za dnia: odstręczała przednówkiem, młócką na dwa cepy, wykopkami w jesiennych brzdach zaciągniętych mgłą pól, przeklętą zwózką snopów po żniwach, kiedy to na wybojach Hliniszcza wywracały się wysoko ładowane fury na drewnianych kołach z obręczami; od szarpaniny sierpem dostawało się wrzodów na mięśniach; podczas pasania stadka krów, tuż po wschodzie słońca, oczy kleiły się w marszu i można było usnąć chociażby w kałuży z kompotem niedotrąwionych zwierzęcych odchodów. Spora część skąpego zasobu słownictwa składała się z form obscenicznych. Zdarzały się wśród pastuszków zawody recytatorskie na coraz wymyślniejsze połajania, zasłyszane, oczywiście, u osób starszych. Rozmawiano głośno i soczyście; stąd miejskie uprzejmości zdały się nieznaną dotychczas epidemią psychiczną, szpitalnianym niedorozwojem. Tam same saskie pierdoły ufające byle słowu.

Białystok prześladował moją małą ojczyznę, kpił z niej, ile tylko chciał. Z mojej winy zresztą, nieczęsto bowiem broniłem jej honoru. Nie mogłem, brakowało mi argumentów. Dobijano akurat tym, czym gnębi się biedaka w jakimkolwiek zakątku globu: niewspółmiernością wkładu pracy do jej efektów. Ubodzy wszędzie dychawicznie harują i mało z tego mają. W odpowiedzi zazwyczaj poetyzowałem, emablując rozmówców pięknem przyrody rodzinnej, urokami patriarchalnych obyczajów, barbarzyńską

tajemniczością zakamarków, metafizyką zapomnielisk. Owszem, potakiwano mi i ziewano, czym prędzej żegnając się ze mną sakramentalnym zdankiem “No to cześć!” Sam się dziwię, że nie wyszturano z mej duszy do końca owych ciągót do stron mego urodzenia. Później sporo podróżowałem po dużej ojczyźnie, Polsce, widując się z niegdysiejszymi krynkowskimi kolesiami, którzy udanie zaszyli się na Ziemiach Odzyskanych (od Ełku po Gdańsk, Szczecin, Wrocław i Jelenią Górę). Z niejakim smutkiem stwierdzałem, że niezbyt chętnie palili się oni do ujrzenia mnie po dekadach, a jeśli już, to cholerycznie pomstowali na swe głodne i chłodne dzieciństwo, tudzież łachmaniarską młodość. Z zaciekłością amerykańskiego imigranta parli do przodu. Rozumiem, że hołysz nie tęskni za minionym; trudno być patriotą tej ziemi, która, prócz cierpień, nic ponadto nie pozostawiła w najpierwszej pamięci.

Jednakowoż owa kolebka poskrzypywała im po kątach w chwilach samotności na udywanionych pokojach M-2 lub M-3, czasami aż M-4. W pijane imieniny; w suto zakrapiane popijawy przy sobocie po robocie, szczególnie w dni wypłat puszczały hamulce. Każdy każdego licytował swoim ojcem, obowiązkowo światłym i przy kabzie. Mitologizowana wówczas mała ojczyzna urastała do rangi cudu, bujnie zieleniła się w wyobraźni jako kraina wiecznej szczęśliwości, wręcz złotego runa. Zagadką psychologiczną z pozoru było to, że nie słyszało się docinków na temat ewentualnego zawrócenia do niej z bulwarów miast. Po prostu wszyscy wszystkim wciskali kit, a w takich razach złośliwośćka powraca bolesnym bumerangiem. Nie ryzykowano przeto, przybierając pozę poważnego zasłuchania. Delektowano się jasnotą przeżycia, wydumaną Arkadią, nie pozbawioną pewnych rzeczywistych przesłanek. Jeśli przyjąć, że bez mitów kultura jest chora, w każdym bądź razie oziębła, a idea jako taka zawsze wynurza się i nabiera konturów z lirycznych oparów dowolności, niczym Afrodyta z morskiej piany, to bez ówczesnej masowej migracji — tylko po części wymuszonej przez

gigantomański system władzy — kategoria pojęciowa małej ojczyzny długo jeszcze dojrzewałaby społecznie w embrionalnie błogim uśpieniu. Mojej matce nie wytłumaczę tego pojęcia, potraktuje je bowiem z irytacją, jak gdybym opowiadał dla niej “duby smalone”; wyjeżdżała ona, owszem, tu i ówdzie na dni kilka, może kiedyś na tydzień albo i dwa do brata za granicę, co pobok Krynek. Feudalizmu nie zżerała nostalgia; przemieszczenia mas ludzkich w nim odbywały się w nader ograniczonej skali kupna-sprzedaży chłopów pańszczyźnianych czy włóczęgi Don Kichotów.

U moich rzymskokatolickich polskich przyjaciół zauważyłem jednak wyraźnie słabsze zwrócenie się ku własnej małej ojczyźnie. Od czasu do czasu w ich duszy coś tam gra, lecz nie aż tak przywołująco, jak u prawosławnego Białorusina spoza Białegostoku, z głową trwale skręconą w stronę swej enklawy konfesyjno-językowej. Ku ojczyźnie w ojczyźnie, a to trochę nie to, jak — na przykład — w przypadku górala z hal... Na ile kapitałnie może znaczyć religia złączona w dodatku z poczuciem narodowym, tragicznie ilustrują nam najnowsze konflikty na kontynencie.

Moją małą ojczyzną jest zarazem siedziba tej części mojego narodu i wyznania wiary, która wchodzi w skład obywatelstwa polskiego i stanowi zrosniętą jego gałąź. Coś w rodzaju jednego pnia jabłoni, rodzącej odmienne owoce... Tej ojcowizny nie da się zapomnieć do cna lub na śmierć zamilczeć.

Przeszkodzi temu nie tyle ukulturalnianie się społeczeństw, co dalszy bieg rozwoju cywilizacyjnego. Szykująca się rewolucja technologiczna, kolejna zresztą, która tym razem nie będzie potrzebowała prostego przemysłu, koncentracji narzędzi pracy i siły roboczej w wybranych miejscach, w określonych administracyjnie ośrodkach. Już udaje się gdzie indziej w świecie mieszkać nad jeziorem pośród lasów i rytmicznie, dzień w dzień, wykonywać etatowe czynności w swej firmie. Czekają nas dekoncentracja aglomeracyjnych olbrzymów, których

bezdyskusyjna sensowność ekonomiczna właśnie się kończy. Oczywiście, bez skrajności, jako że nigdy nie bywa tak, by jakaś formacja okazywała się kompletnie wyczerpana, niczym przysłowiowa studnia na pustyni. Jedna wchodzi w drugą, poprzednia w następną. Monstrualne skupiska gospodarczo-demograficzne przestaną się rozrastać, ale jedynie na arealach o wysokim stopniu rozkwitu materialnego. Dobrym przykładem tutaj są Niemcy, na terytorium których nie widzimy magnesujących wszystko Paryżów czy Warszaw; landy przypominają sobą państwka. Nie przypadkowo zatem na ich obszarze wytworzył się termin “Heimat”, w przybliżeniu odpowiadający naszej zbitce pojęciowej: mała ojczyzna.

Białemustokowi póki co niezwykle daleko do pozbycia się “kompleksu Paryża”; wysysa region niczym rak organizm. Ale już są widoczne granice tej anomalii rozwojowej. Wsie i miasteczka w zasadzie wyzbyły się rezerw ludnościowych, niektóre nawet przesadnie, importując teraz po trosze element wielkomiejski, niebezpiecznie lumpenizujący się. Jeśli nic nie stanie na przeszkodzie normalizacji w Polsce, wkrótce ideologia małych ojczyzn wkroczy w swe apogeum. Zaprzestaniemy plucia w kurz i pajęczyny zaścianków, kochając jedynie stolicę, a mieszkując w tymże Białymstoku czy Hajnówce tylko dlatego, że tak się akurat połowicznie, niestety, poszczęściło w życiu (miast wyśnionego Żoliborza, a lepiej — Nowego Jorku).

Wzgarda do ojcowizny nie była znana w środowiskach arystokracji oraz zamożnego chłopstwa. Proszę zwrócić uwagę na ową dychotomię, którą postrzega badacz mechanizmów kształtowania się nacji europejskich. Czynniki własności generował demokrację i odrodzenie? Zapewne, lecz nie wyłącznie. Fabrykant, dajmy na to, również czuł się właścicielem, jednakże włócił się w ogonie wyzwoleńczej irredenty, czujnie zerkając na boki, by nie oberwać po plecach... Cóż więc głównie decydowało? Ano ziemia! Pieniądze — tak, ceny — tak, rynki zbytu — tak, ale tylko ziemia koła zakotwiczeniem, zapuszczeniem korzeni. Na

dobrze i na złe. Niechaj to będzie archetyp psychospołeczny. Czy wypada dziwić się, że każda władza narodowa zdolna jest prawie do wszelkich ustępstw, dyktowanych ciśnieniem sytuacji, z wyjątkiem terytorialnych. Jeśli — bywa — posunie się i do nich, to obsesyjnie nie może pozbyć się odruchów rewindykacyjnych. No, ale to państwo. Biedak z piaszczystych morgów, załapawszy się do fabrycznego raję, nie miewa podobnych zgryzot. Jest nieprzyzwoicie uradowanym facetem, któremu trafiła się złota rybka: umiarkowany wysiłek, stale czynna kasa, mała bo mała, ale gwarantująca bezpieczeństwo socjalne.

Zwrot ku małym ojczyznom to konieczność dziejowa. Taka sama, jak upadanie barier granicznych w wymianie towarowej. Rzucone ongiś przez de Gaulle'a hasło Europy ojczyzn nie było francuską elegancją w polityce, lecz przeczuciem przyszłości. Euroregiony poszerzyły interpretację tego zawołania — wizja wielkiego prezydenta nie urywała się na kanadyjskiej koncepcji jedności w różnorodności czy Parlamentu Europejskiego, integrującego rządy i państwa. Sięgała w głąb samej natury formowania się połąci narodowych albo i gumilowskiej tezy falowania dziejów. Dzisiaj mówi się o decentralizacji władzy, organów administracji, ograniczeniu roli struktur państwowych, przycięciu pazurów ich wszechwładności. Heglowskie “schody” sprzeczności — teza, antyteza, synteza — chyba sprawdzają się i w tym wypadku: nadopiekuńczość etatowego molocha przeistoczyła się w swe przeciwieństwo intencjonalne, jak zabójcza dla samodzielności dorastającego dziecka tkliwość macierzyńska, drobiazgowo wyręczanie go w kłopotach...

Dopatrzyć się czytelnej analogii między patriotyzmem regionalnym a narodowym. W tym i w tamtym idzie nade wszystko o poczucie własnej wartości, bycie na własny rachunek, które hartuje charakter, zwalcza pieczeniarnstwo, prostytutkę duchową, samozniewolenie. Są i przeciwstawności. Docelowym dążeniem narodowości jest państwo, zapatrzenie w centrum (“Cały naród buduje swoją stolicę!”). Regionalizm nie ma szans w

warunkach konfliktów międzynarodowych; znamienne, że gospodarka też. Przeto ruch regionalny, kult małej ojczyzny niechybnie powstaje w grze o jakość życia. Liberałowie forsują zasadę regionalizacji w przeprowadzeniu reformy podziału administracyjnego kraju; idzie im o całości ekonomiczne, o Wielkopolskę, Pomorze, Podlasie itd. Ich przeciwnicy nie dbają o to, kierując się raczej usprawnieniem aparatu rządowego, na zimno kawałkując historycznie ukształtowane dzielnice. Cóż po zarzucie, że Niemcy by tak nie zrobili...

Komuniści zaciekle zwalczali przejawy kultywowania małych ojczyzn, ponieważ przeszkadzało im to w orwellowskim skoszarowaniu ludności, poddaniu jej drobiazgowym regulaminom i statutom. Ulubiona przez nich wojskowa terminologia obracała się wokół kategorii planowania sztabowego, taktyki i strategii.

Niepodobna restytuować mało-ojczyźniane postawy za pomocą nacisków moralnych. Zgrzeszylibyśmy fanatyzmem, osiągając skutki raczej elitarne, chociażby w postaci osadzenia w okolicy kilku twórców kultury, najlepiej autochtonicznego pochodzenia, o których najgłupszy cymbał z sąsiedztwa wiedziałby, że pieniądze robią oni mimo wszystko w Warszawie lub w Krakowie, tutaj zaś wyporządkowali sobie daczę. Pięknych posiadłości by przybywało, zaś samo okole nadal będzie pustoszeć, powrócą lasy i dzika zwierzyna. Nie o takie rezultaty warto kruszyć kopie.

Należy unikać etosu ofiarności. To odstrasza, a nawet kompromituje samą ideę. Mała ojczyzna — brutalnie mówiąc — powinna stać się dobrym interesem. Pod tym jednakże warunkiem, że zacznie on kręcić się wówczas, gdy pieniądź pójdzie w parze z kulturą. Nie widać jakos ludów zamożnych a ciemnych lub oświeconych a przymierających głodem... Boję się kolonializmu metropolii względem interioru; fabrykanta w Krynkach, który potraktuje je cwaniem, w ciasnych ramach koniunktury. Musi to być biznesmen-patriota, wyznający następujący cel: mała ojczyzna nie jest zesłaniem nędznego losu z niebios, od którego nie udało się

tutaj wymigać, lecz niedostrzeżoną na razie szansą na normalne istnienie w Europie. Trzeba nam odkrywcy, a nie łowcy okazji.

Oczywiście, nic się nie dzieje w izolacji. Duża ojczyzna limituje parametry małej. Stołeczna wścieklizna zaraża również tutejsze kundle. Najpracowitszy gospodarz przepadnie z kretesem, opłątany państwowymi absurdami. Stąd tak ogromna waga powszechnego uznania dla uniwersalnego sensu Itaki w bezmiarze Hellady.

Porywająca wizja to nie to samo, co magiczne myślenie. Tępmy chciejstwo, które ma właściwości chwastów; wyrasta natychmiast i w każdych warunkach. To dzikie wino ma gorzkie owoce. Pleni się — o dziwo! — na jałowym gruncie niekompetencji. Poeci działania są nieszczęściem, nie dopuszczajmy ich do orki, bo zrobią to ładnie i byle jak. Pegaz szybko pada na kolana w obroży pługa. Potrzebny jest bowiem prozaiczny pozytywizm, mentalność “pознаńskiej pyry”, nie zaś królewackiej siłaczki. W białoruskim białostockim kraju jeszcze nie do końca wyśmiano pracę, mrówczą zaradność. To nic, że buchalterów państwa polskiego irytuje Ściana Wschodnia. Oni póki co nie wiedzą o tym, że przygraniczne położenie gdziekolwiek na kontynencie obecnie bogaci.

Moja mała ojczyzna nie jest koniecznym warunkiem istnienia Polski. To Polska jest niezbędna dla niej, by nie poddać się zarastaniu puszcza. Polska, jako dobry sąsiad Białorusi, działając na zasadach euroregionów ma szansę wyłabudać się z zapyziałej peryferii na szeroką prostą do celu, jakim zawsze będzie wygaszenie — wśród tubylców — syndromu tymczasowości, czechowowskiego szykowania się do życia, zamiast cieszenia się istnieniem, samym swym przyjściem na świat Boży. Trzeba odebrać perwersyjną rację pewnej pani profesor z Warszawy, zatrudnionej w jednym z instytutów badawczych w Białowieży, która z nonszalancją wypowiedziała się na łamach białostockiej prasy o zbawiennych wręcz skutkach wyludniania się dookolnych gmin, przeważnie wegetujących na skarbowym garnuszku, bowiem

im prędzej nastąpi ich zgon, tym większy zysk dla budżetu. Pewnie, skoro rachunek pokazuje, że dopłaca się nawet do grządki pietruszki na zagonie rolniczkii na rencie... Więc co? Winna chłopka przeprosin, że żyje? Ona i cała jej mała ojczyzna?

Coraz częściej pomieszkując w Krynkach zastanawiam się jakoś tak boleściwie nad tym, co mianowicie może uratować je i okola od degeneracji i usychania gospodarczego? Wiem już, że widzenie nadchodzących czasów bierze się ze zrozumienia minionych epok i stuleci. Niczym rodzącego się z nocy dnia. Moja mała ojczyzna zawsze podupadała, gdy zmieniała swą przynależność państwową. Czy to Rosja carów, czy Niemcy pruskie siłą rzeczy prowadziły tutaj politykę kolonialną. Nikt nie zachowuje się inaczej wobec świeżej zdobyczy. Niewiele odróżniał się od tego schematu reżym komunistyczny, będący dyktaturą industrializacji, kaprali przemysłu w jego dziewiętnastowiecznym wydaniu, na którym zasadzał się marksizm. Przeniesienie fabrycznych metod produkcji do rolnictwa i rzemiosła, pegeeryzacja i uresortowiona spółdzielczość spowodowały pozorną stabilność, tak charakterystyczną w "księżycowej ekonomice". Żyło się marnie, ale bezpiecznie. Źle opłacane miejsca pracy notorycznie zabałaganiiali półdarmowi pracownicy. Obecnie powraca w me strony rynek, podświetlając przy okazji obraz nędzy i rozpaczy, zasłaniany do niedawna atrapami "władzy ludu".

W szeregu oczywistych stąd wniosków nasuwa się kilka pokrewnych im, wartych wymienienia. Mała ojczyzna musi chcieć nią być, zaś Duża — chcieć ją mieć.

Tymczasem u działaczy gminnych brak wycucia epoki; urzędasowskie dojutrkowanie. Mało straszy ich perspektywa rządów na pustkowiach, w najlepszym razie zarządzanie podatkami od mnożących się dacz i resztek rolniczych rodzin. Budżet jest ważny, ale jeśli tylko to, gotówka pocznie płynąć nie z pracy na danym terenie, aliści z najbliższych miast; być może Krynki przeistoczą się w weekendowe przedłużenie Białegostoku, a

w nich samych zapanuje tedy atmosfera sobotnio-niedzielnej sjeisty.

Mała ojczyzna jest ideologią własnej pracy i pieniędzy. Warunki na jej odrodzenie nie będą trwałe wiecznie. Przejmując rolę dobrze opłacanej pokojówki dla spragnionych łona natury wielkomieszczuchów, zatraci swą tożsamość, a zatem i duchową potrzebę samodzielnego istnienia. Od czasu do czasu posłyszysz się tam później najwyżej bełkotliwe bajdurzenie o niej od ćwierćinteligentnego pijaczka w wyprzedniałej restauracyjce na ryneczku, obsługującej obiadkami wycieczki ze świata oraz bywające wiosną i latem rodziniki z przybłądłymi pośród blokowisk dziećmi, aby nabrały one tu rumieńców i wigoru na ekologicznie czystym jedzeniu.

Po małej ojczyźnie nie pozostaną wówczas nawet wspomnienia.

З БЫЛОГА

Калі я нарадзіўся ў трыццаць шостым, пад восень, у мацеркі ўзнікла натуральнае пытанне, якое імя даць мне пры хрышчэнні ў нашай Пакроўскай царкве. Успомніла Сакраціка — свайго равесніка, сына настаўніцы ў бежанскай Смышляеўцы, што за Самараю. Святар аказаўся чалавекам культурным і пахваліў выбар. Потым, праз гады, і пропаведзь сказаў пра старажытнага Сакрата, чым незнарок выратаваў мяне ад пасмешак хлапчукоўства ў местачковых маіх Крынках Гарадзенскага павета. У радзіне клікалі: Крацё — калі спаважна, Крацік — калі па-сяброўску, Краціонё — калі ласкальна, і Крат, Крот — калі хацела надакучыць мне хеўра. А, наогул, абавязковую па плебейскай звычцы празыўку насіў я — Котляр, бо быў тоўсты, падобны да пузатага даваеннага аптэкара Котляра.

Знявагі цярэў я даволі пакорліва, удаўшыся ў крыклівых, але мала адважных бацькоў. Трымаўся збоч дзіцячае банды, якой верхаводзілі ў Саколышчанскім закутку Крынак лёгкія на кулак браты Шамрухі з дапамогаю Патэжа і Галяка, паўсірот, якім не давалі рады іхнія маткі, пакінутыя гулякаватымі мужамі. Заўсёды спрабоўвалі пераняць ад іх уладу Ліс з Чаркесам, аднак бракавала ім тактыкі і колькаснай перавагі; усякая натуга на замах канчалася разбітымі насамі ды прымірэннем. Я надта баяўся відавоку крыві, а калі аднаго разу дастаў яшчэ і каменем у патыліцу, кінуў з імі хадзіць і завёў дружбу з непрылюдным Жоржыкам і яго сястрою Таняй з багатай хаты ў завыганскай Кальварыі. Ён прышоўся мне даспадобы сваёй ціхай падатлівасцяй і большай хваравекасцю. Адначасна, бываючы ў яго на панадворку і ў вялікім садзе, я меў гонар знацца з замажнейшымі за нас людзьмі. Малыя вельмі хваляцца ўласным родам, можа быць, мацней, чымсьці дарослыя.

Мае акцыі ў вачах Жоржыкавых родзічаў не былі нізкімі як сына рамеснай пары шаўца з краўчыхаю, а выраслі дзякуючы Курчу. Гэты святы сусед, які насіў бараду да грудзей ды нясціхана мармытаў малітвы, натхніўся той пропаведдзю “батюшки” і сасніў прарочы сон, што я буду праваслаўным айцом. Мая маці не была супроць такое перспектывы для мяне, але, як жанчына, рэалістычна заўважыла, што заіка я нясцерпны (па бацьку пайшоў, хоць і шок ад нямецкіх бомбаў у чэрвені сорак першага прыслужыўся ў тым нямала).

Словам, наканавана мне выключнасць, так сказаць, месіяства, нягледзячы на тое, што сам я найахвотней стаўся б Сяргеям, Юркам, Міхасём, Грышкам...

Пра само прозвішча “Яновіч” не чулася гаворкі. Я хадзіў у Яновічыках як сын, а бацьку Косцю ведалі Антошкам. Чаму? Меў ён дзедз Антона — можа прадзеда? — які праславіўся цяжорнымі аплявухамі сваім апанентам у карчме, таксама, буйным норавам (яго ніхто ніколі не пакаціў, ні ў чым не абдурывіў). Валачашчы быў стары, тыднямі не вяртаўся дамоў,

а калі ўжо, нарэшце, дык сям’я не пасмела нават паказаць нейкае здзіўленне, не кажучы пра выгаворванне. Прабабуля дапусцілася б балеснае памылкі, наважыўшыся адшукваць яго ў жыдоўскіх забягалаўках; усе гаспадарскія турботы клаліся тады на ейныя плечы, вядома.

У сялян няма гісторыі. Веды пра радню адыходзілі ў магілу, пакідаючы паўфалькюрны след у памяці нашчадкаў, пераважна ў выглядзе скандальных эпізодаў. Гэтаксама і ў нас. Я лепей любіў бабскія нераказы, у якіх знаходзіў крышынкі праўды аб мінулым жыцці (мяне страшэнна цікавіла, як гэта было даўней!). У мае няцэлыя дзесяць гадоў дажывала свой век татава матуля. Паншчыну яна не памятала, але ўсё згадвала аб вядомым ёй ад старэйшых за яе, што мусова было ў досвітак ісці ў двор на работу, цівун аб’язджаў хаціны, стукацеў чаранком бізуна ў сцены і крычаў: — Уставай! Тыя, хто разжыўся на свой кавалак поля, араў, сеяў і жаў на ім месячнымі

начамі. У нядзельку нельга было нічога рабіць, акрамя як памаліцца ў мужыцкай цэркаўцы, пакрытай саламянымі паркамі. Чакалі гэтага дня або іншага свята, каб адспацца, даць адпачынак рукам і нагам, падгаіць раны ад няшчасных выпадкаў ці гайдукоўскіх нагаёў на панскім гумнішчы. Прыгоннае права адменена напрыканцы зімы 1861 года. Крынкаўскім халопам апавясціў аб тым святар, пасля багаслужбы. Стаяў высокі, ясны і цёплы дзянёк, зямля пазбывалася снегу, цурчэлі ручайкі; дзеўкі ішлі босымі, сёй-той з мужыкоў паскідалі лапці. Людкове плакалі ад радасці! Налез потым цёмнаю хмараю польскі “мяцеж”. З двара прыйшлі паночки ў рагатых шапках ды ўзяліся забіраць дзеццоў у паўстанне. Начальнік заеўся на маладога Чабана з Сакоўскай вуліцы, які вельмі прасіўся пусціць яго дахаты. Калі ж усёй шайкай накіраваліся на астроўкаўскі фальварак, камандзер сказаў нудліваму Чабанчыку: — Пацалуй мяне ў халяву бота, то адпушчу цябе, душа ты нявольніцкая!

Не толькі ён рынуўся абцалоўваць... Мяцежнікаў, што палавілі былі казакі ў гушчавіне Перацёсаў, прыгналі ў Крынкі і павешалі на Шубельніцы, гары каля праваслаўных — раней уніяцкіх — могілак. Тамака цяляпаліся яны досыць доўга ў вяроўчыных петлях, бо ў халадэчу не загнувалі. Дзе іх пасля хавалі, адзін Бог ведае.

Яновічы папраўдзе заінтрыгавалі мяне ў сталым узросце, але няшмат уведаў. Столькі ўсяго напачатак, што канчаток

“-іч” ёсць баярскага паходжання. Затым, акрамя вёсачкі Яновічы пад Беластокам ды мястэчка Яновічы за Віцебскам, важныя Яновічы сеялі пограз у Коўні за часам Вялікага княства Літоўскага. Якісьці Яновіч арганізоўваў у царскай Варшаве падпольную партыю “Пралетарыят” (польскі рабочы рух анімавалі, пераважна, інтэлігентныя шляхцюкі, што зараблялі па фабрыках на кавалак хлеба сабе, калі абарвалася ім паншчынная дарэмшчына). Узрадавала мяне кніжка Кастуся Тарасава “Память о легендах”, на якую наткнуўся я ў

лонданскай Скарынінцы: з гвалтам на цэлы Наваградак сварыліся з Міцкевічамі за спадчыну тамашнія Яновічы, неадступна і працягла, што праўдападобна і паслужыла славу таму Адаму матывам судовае цяганіны ў эпопеі “Пан Тадэвуш”.

Мяркуючы па марфалогіі прозвішча і напрамках яго нага распаўсюджання, вынырнулі мы недзе ад шведска-нямецкае Рыгі, ад Янаў курляндскіх; не падваршаўскіх, што падказваюць польскія мае сябрукі, відаць, разлічваючы на абуджэнне міфічнага “клічу крыві”... Прусаўскае веравызнанне ў курную кучу Антошкаў, што асядала ў зямлю ля азярышча, збоч ад уезду ў Сакольскую, заявілася — як разумею — выпадкам: дзеда не было каму хрысціць у касцёле, ксёндз ублытаўся ў “мяцеж”. Антошка слухна тады рок: “Бог усім той самы, нясі дзіця бацечку!”

Да сённяшняга часу, аднак жа, рэдка ўпаткаеш некаталіцкага Яновіча. Было б наадварот, калі б вывеліся яны не з прыбалтыйскага староння, а, скажам, з Чорнае або Белае Русі.

Затое, цалкам зразумелая генеалогія ў маёй маці, Алесі Грычанкі. Яе татуля, Іван Грыка, выйшаў з ляснога Язафова, а жыў у блізкіх Навасёлках, дзе прадаў частак зямлі і за чатыры тысячы рублёў купіў каля 1910 г. дванаццацігектарны арэал па другі бок пушчы, у Барсуковіне, што блізу колішняга свідзілаўскага двара; перавёз хату. Грыка ёсць грыка, што тут няяснае?

Губляюся ў доследах як матчынага, так і бацькавага каранёў. Ашаламляе безліч сяцёр і братоў, родных і дваюрадных, цётка і дзядзькоў. Радзіна з пятнаццаці душ не здавалася завялікаю. Выходзілі замуж, жаніліся, і зноў паўтаралі тую ж мнагадзетнасць. Куды яны падзяваліся і дзе знаходзілі месца сабе пад сонцам?! Шмат памірала ў дзяцінстве і маладосці, амаль палова, тым не менш кладавіліся спаць покатам, адно каля аднаго на адабранай з акалотаў жытнёвай

саломе, накрыўшыся чым папала; бліжэй печы ляжалі хварэйшыя. Галава сям'і сядаў за стол есці першы, а матачка пільнавала, каб не перашкаджала яму дзятва. Яго слова слухалі ў абсалютнай цішыні, нікому і ў галаву не прыходзіла не выканаць сказанае. Смерць малога раздражняла, адцягвала назаўтра заканчэнне нейкае работы ў полі або ў стадоле, хляве...

Маленства — як і ў кожнага — не ўспамінаецца мне хаця б прыблізным імгненнем. У чацверты гадоў нешта ўжо адклалася ў памяці, замгленыя два-тры вобразы. Грукацелі па бруку савецкія танкі. На якімсьці з іх стаяў, высунуты па пояс з гарматнае вежы, рассмяяны танкіст, спрытна ловячы жмуты кветак, шко кідалі яму жанчыны. Гэта з верасня трыццаць дзевятага, калі ў бабіна лета прападала Польшча. І ў тую ж снежную зіму залазіў я ў валёнках ды палітэчку на роўныя з платамі грумакі каля Антыфонаў, куды збягаліся хлопчыкі, каб на самаробных лыжах са штыкетаў з'езджаць уніз, да студні Булавы, з якое чэрпалі ваду паненкі, павіскваючы ад залётаў кавалераў: шпурлялі намочанымі снежкамі, цэлячыся ў лыткі. Такого белавею болей я не бачыў. Шаша на Саколку, да чыгуначнай станцыі, нагадвала сабою ўмерзлую ў высозных берагах рэчку; штораз раскопвалі навеіны. Вуркаталі грузавічкі, механіку якіх я не ў стане цяпер растлумачыць: паабাপал задняе сценкі іхных шафёрскіх кабінаў капцілі жалезныя печы, у якія дакідалі невялікія палены. Нешта накшталт самавараў... У адліжны яшчэ зазімак мацёрка звадзіла мяне ў гандлёвыя рады; купіла цацку, зялёны самаходзік з праўдзівымі гумовымі калёсікамі, і я нёс яго, засланяючы далонькай ад хуткіх і мокрых сняжынак. Нагуляўшыся ім, растрыбушыў яго на часткі, дабраўшыся да таёмнага нутра... Цукеркі-ляндрынкі, што за бесцань выдзялялі саветы для тых, у каго былі малыя дзеці, схавала бабуся ў карзіне на запечку, а я прыкінуўся нічога не ведаючым пра гэта.

Стала на кватэру да нас смяшлівая саветка Аня, рыжавалосая настаўніца, што і з’явілася маім дзівосным сутыкненнем з чужаземным прыезджым; польскае мовы я не цяміў, а расейскую — не царкоўную — пяршуткі раз счуў. Не кеміў я таго таксама, што, не адыходзячыся далей ад дома, апынуўся ў суседняй дзяржаве, і то якой (!), ажно да Японіі... Я тых круглатварых недаросткаў разглядаў на ілюстрацыі ў якімсьці чытанкавым апавяданнейку пра пераможную бітву з імі сталінскіх салдатаў ля возера Хасан, што блізу мурашынага Кітая. Але, яшчэ да гэтае маёй прасветы, занадзіўся хадзіць да кватаранткі ейны калега па педагагічнай рабоце ў крынкаўскай школе, па прозвішчу Шатэрнік. Як і яна, “восточнік”. Па закону кантрасту, гэты суровы brunet у акулерах упадабаў на маю бяду вясёлую ды культурную панну з адпавядаючай яму расейскай натураю. Відавочна дзеля шаноўнага прыліку запаліўся ён прынагодна ліквідаваць маю першаварварскую непісьменнасць, падцывілізаваць гойсаючага засранца. Як толькі пераступаў ён парог з сяней у хату, у мяне адразу сыпаліся на шчокі слёзы: трывожылі ягоныя колкія вочы, мала зразумелая маскальшчына, матчыныя наганяі мне, урэшце. Зубрыў верш “Хлопчык і лётчык”; над ім аціхаў.

Гадаваўся паўсіратою. Бацька адбываў няволю ў немцаў, трапіўшы ў палон да іх дзесьці пад Чанстаховаю, пагнаны палякамі на вайну. Мабілізаваны ў конную артылерыю, малавеле не аддаў Богу душу за працяглае супраціўленне ягонай дывізіі, званай ці не літоўска-беларускаю; шпарыла яна па гергачах да апошняга снарада, а напаследак і з шаблямі ўсяго пайшла ў атаку, за што пасля, акружаных і раззброеных, расстрэльвалі фрыцы кожнага дзесятага ў шарэнзе (па ўзору старажытнарымскіх легіёнаў, якімі хваліліся ў Германіі). Параненых прабівалі нямчугі штыхамі, рагочучы на ўсю ляпу. Некаторыя, лежачы здаровымі ў акопах, прыкінуліся мёртвымі; бахалі з карабінаў ім у патыліцы, каб пераканацца, ці сапраўды, дык падкідвала імі ад кулі на паўметра.

Настала лета саракавога года і мацэрка з бабусяю Палосяю — разадзеўшы мяне пад панка — павялі да фатографа, што трымаў атэлье каля рынку. Патрэба ў тым вынікала вялікая; бацька прыслаў з Саксоніі ліст, пытаючы, як сыночак маецца... Я яго не запамятаў, хоць, казалі, вішчаў і абдымаў яго за шыю, калі забіралі на польска-нямецкі фронт; адчапіўся ў цукерніка. Той лямант вярнуўся да слыху і пачуццяў пазней, у разаспаную лютаўскую ноч: прыехалі энкавэдзісты вывозіць у Сібір суседку з малымі, Лёльку Яновічыху (яе чалавек сеў быў у беластоцкую турму, на сваё шчасце, і так ён у ёй датрываў да збавеннага для яго чэрвеня сорака першага).

У маё немаўляцтва ўсе запакутавалі са мною. Ужо нарадзіны даліся матцы ненатуральна цяжка. Ведаю з яе смутных згадак, што душылі мяне хваробы, у іх ліку і “ангельская”. Да “дахтароў” дарагіх падавалася. Мелі абое за што, шаўцуючы ды краўцуючы, седзячы ўдадатак на некалькіх гектарах ворнае зямлі. Ліхонці тэя прыбіліся да мяне якраз тады, калі згарэла Антошкава хаціна; з пажару вынеслі мяне ў калысцы. Пагарэльства ў даваенны час давала неблагое збаўленне ад неласкавага лёсу: даплюсаваўшы страхоўку сваім запасікам або скромнаю пазыкаю мажліва было нязгорш перабудавацца. Двум братам, менавіта Косцю і Грышу, было цесна пад адною страхою. Браціха Манька з Азяранаў, з расейскімі паперамі акушэркі, перавышала інтэлігентнасцю Янавічоўскі род, а пайшоўшы замуж старою дзеўкаю, пераважала гаспадыньскай зядласцю. Яна і дадумалася падпаціць, у нікога не пытаючы, павязаўшы перш падручнае дабро ў вузлы; апланаваўшы ўсенька да дробязей, не патраціла нават гаршкоў. Убачыўшы блізкі агонь скеміў свой шанц і хітры Сяргей Яновіч, сын брата майго дзед, які жьў са сваёй Лёлькаю зусім як у хляве. Запалыхала на Янавічоўшчыне, што і пажарнікам не было чаго рабіць! Неўзабаве закрасавалі тут прыстойныя дамкі, двухпакаёвыя, з асобнымі кухнямі, з ганкамі; наш — куплены ў Служках, дзядзькаў — набыты ў

прарока Ілі Грыбаўскага, які, зняверыўшыся ў сваіх сектантах, распрадаваў святы горад Вершалін, заснаваны ім каля лішчанскіх хутароў.

Не раз запальвалі нада мною грамнічную свечку смерці. Не сканаў, хоць здавалася: няма надзеі... Заплакаліся. Есці — не елі. Усякая праца не клеілася, работа з рук падала. Дзе які заробак на лекі прасадзілі. Адратавалі! Ці бо арганізм перамог... Пэўна ж, адно і другое. З худзінкі пераўтварыўся я ў абжору, у скваркаеда. З двухгадовым спазненнем узяўся станавіцца на ногі, па рахітычнаму крывыя і слабенькія. А тое, што значыць ваенная завіруха спазнаў я не пры саветах з іхным самаходзікам ды ляндрынкамі, хаця і з Шатэрнікам, і прыэпалахамі поначы ад якогасыці дамавіковага НКВД, але ў пераджніўны надыход расхлістаных у гарачынь гергетуноў са свастыкай на спражках шыррозных дзягаў. Мястэчка бамбілі аэрапланы з гэтай кпінаю крыжа на крылах; успалымнелі гарбарні на Пагулянцы, валіліся муры на Каўказскай, іскрыліся галавешкамі кроквы на банку, пошце; жыды гевалцілі, мітусіліся. Хрысціянскія ўскраіны сталіся, як тыя куры ў крапіве. З дваровага старадрэўя распаўзліся кузакамі чырвоназорныя танкеткі, за якімі ганяліся шулякамі нямецкія знішчальнікі. Маці ўцякала са мною жытамі на Барсуковіну, у родны ёй засценак. У Айнавых горах, што за маёнткам пана дэ Вір'яна, не дазваляў нам падняцца з прымежку начэплівы самалёціска: нізка стракацеў па голагаловых “чубарыках”, што разбягаліся ў палеткі. Засланяла мяне сабою, галосячы па-бабску. У дзядзькоў — дабрылі мы ўрэшце — пад Крынскай пушчаю ўлеглася ціш, кружылі галаву ўстаялыя пахі пчалінага ліпеня. Аднекуль даляталі выбухі і, час ад часу, страляніна, усё роўна бы нехта ляскатаў кійком па прыдарожным паркане... Завіталі чужыя ваяры і сюды, на ўсё адказваючы “гут”; упалоханай Грычысе растлумачыўшы: “Ны пляч, матко, за цвай тыдэнь будзем ф Москаў!”

Паставіўшы прычэпу з паходнай кухняй на падворышчы ды закамандаваўшы бабам напрыносіць ім “шпэк-яйкі-куры”, парасядаліся хто куды галіцца. Плэхкаліся ля калодзежа, вычаўпаючы, бы падшпаркі над рэчкаю; участвалі мяне кавалачкам шакаладкі, пагладзілі па віхры: “Гут, малі зольдатэн! Ніхт большэвік”. У варотах на гасцінец зазьяла постаць камандзіра ў блішчстых ботах і ў настабурчанай шапцы: павеяла погразам. — Ахтунг!

Людзі ў нас, гаворачы пра каторую ўладу, заўсёды пужаліся яе. Адзіная, якую прынялі былі спачатку за сваю, гэта савецкая. Месяц-два трактвалі сталінскае начальства, здаралася, з непрыхаванымі пажартункамі; хадзіла ж яно ў трантах, галотнае і галоднае, непадобнае на важнае; парабкі па гаспадарох акуратней швэндаліся ў святы. Мужык не шануе таго, у каго няпанскі выгляд. Праўда, амцкамісар у Крынках апранаўся даволі марна ў параўнанні з палячыкаватым бурмістрам за Пілсудскім, але цанілі яго мацней, як ні парадаксальна. Гэты новапаселены дойчман вязджаў брычкаю глядзець ураджаі; багатырам загадаў успамагаць задарма канём і плугам малазямельных і салдатак; не гідзіўся зайсці ў занядбаны хлевіска, да рохкаючых “швайнэн”. І тут жа выконваў акт справядлівасці: надаваў кульбакаю ўкаплек сялянскім вашаям, ажно юшкаю абліваліся. Цікавіўся сямейным сужыццём: калі хто біў жонку, не дапусці Божа, цяжарную пры гэтым, дык гнаў буяна выносіць на двор лаву, лягаць на яе з аголеным задам; хапаў пугу, што стырчма цяляпалася на перадку ягонае брычкі, мачыў рэмень у карыце ля студні на ваду жывіне, кумячыў; свістаў ёю ў паветры, каб лепей дапасаваць да далоні і прымаўся пісаць ёю на скуры дуралоба: “айн-цвай-драй...” Называлася тое ў народзе караю да першага ўсёру. Жанкі не надга пратэставалі, а плакалі болей для людскіх вачэй. “Ті ны ест чэлэвэк, ті ест шайс!” — чуваць было ягоную нязменную сентэнцыю.

І мужчыны наракалі неяк няўпэўнена, бо і супроць чаго? Скідалі шапкі нядотыкам таксама перад жандарам Шатэнбергам, у адлегласці заказаных ім дзесяці крокаў. Але яго так не паважалі, быў ён невядома нашто: юдзьяў пазаганялі ў гета і нікуды яны не паказваліся, а партызанаў пакуль што не накідалі самалётамі з Масквы. Шатэнберг мацюгаўся ад рання да змяркання, шукаючы зачэпкі. Ад няма чаго рабіць, шпарыў разлезу ў морду за павалены плот; кагосьці — за непабрукаваны падворак або за дзіравы дах, за абгноенага ці ахвачанага каняку, за непабелены комін, непамаліяваны франтон. Крынкі папрыгажэлі. За абадранае дзіця выклікаў радзіцельку, ківаў ёй кулачыскам, маўляючы на мазурскім дыялекце: “Ма ему быч чісто, ногы выміты, обуты, лята на дюр, глёва бэз робак, чэсані на бок яко фюрэр, пазногхцэн абчаханы, уші бэз мюд; гут, ё-ё, ма ны шмэрджэч, вэсолё очі, кшёнчка нымэцка ф длёні... Тын малі ест райхсдойч, нымэц, ё-ё, ті его руска маць, ті ма зробыч гут юні-нэмчу, фарштэйн?”

Цішком штурханья маладзіцы бараніліся: “Скажу немцу!” Перанялі гэту моду і малшаватыя дзяцюгі, бачачы, як ад іхніх няўрымслівых учынкаў свярбіць бацькава рука.

Акупацыйнае дзяцінства працінала ад траўмы да траўмы; у нечым інваліднае. Маці знемагалася ад навалы турботаў. Бабуся Палося выручала яе, у чым была змога, прыгаворваючы сабе: “Божа ты мой, Божа, і чаму гэта так доўга я живу?!” Я абіваўся між імі з комплексам дармаеда, грэшна падкага на смакату. Недзе з Дрэздэна прыходзілі пісьмы ад таты, пісанья беларуска-польска-нямецкім слэнгам. Пісьманосцаў пошта не наймала, але лісты прыносіў адзін з былых; даставаў ён за гэта пару яек, акраец бохана; ад замажнейшых жа то і скрыгель саланіны. Матуля спачатку бралася чытаць сама татулевы крамзолі, пераадольваючы нават польскія славесы (служыла ж некалі ў Беластоку!), але ўжо безвынікова мэнчыла нямецчыну, нягледзячы на некаторае веданне жыдоўскае гамонкі, якою шумелі нядаўнія Крынкі. Хочаш не хочаш, запіхвала канвэрту

за пазуху, завязвала ў ручнічок кус мяса і церабіла да Харужага, што крычаю сядзеў за прасторным пісьмовым сталом у непарпарцыянальна маленечкай дамоўцы з ледзь бліскаючымі ваконцамі ўверсе вуліцы, недалёка ад руіны кузні Лейзара. Старакавалеруючы кніжнік жыў з таго, што пісаў панымецку патрэбныя паперы; фармальна наша старонне далучана да Наваўсходніх Прусаў і лічыліся мы ў Рэйху нібыта.

Весткі ад бацькі акрылялі перш за ўсё ў катэгорыях карысці. Яго як беларуса вызвалілі з лагера для польскіх ваенна-палонных, адпаролі з грудзей латку з лацінскай літарай “пэ” і прызначылі на вольную працу ў абутковай майстэрні з правам на плату, праводжанне водпусак (на тэрыторыі Нямеччыны). Стаўшы такім чынам гастарбайтэрам дасылаў нам час-часам грашовыя пераводы, сціплыя, але не настолькі, каб не вярнуўся ў маю бабскую сямейку аптымізм, вера, што не ўпаткае нас бяхлебца і панурае беспрасвецце. На дасыланых ім фотках паказвалі мне нябачанага мною дзядзьку з гальштукам, у гладкім гарнітуры, выгаленага, з папяроскаю ў зубах, у блісклівых ад ваксы туфлях; у таварыстве капялюшніка ў плашчы ды з кульбакаю. Так, здаецца, і пахацела ад іх парфумамі, ад тых ягамосцяў ні ў чым не падобных да крынкаўскіх мужыкоў з парэпанымі ад броду рукамі, у абшмальцаваных лахманах; прыгорбленых натруджанасцю, маючых кантакт з брытваю напрыканцы тыдня, не падазраючых існавання зубное пасты, шчотачак...

Маці казала: “Гэта твой папа”. Я не пагаджаўся: “Не хачу яго!” — і ўмомант атрымліваў аплявушку. Усчынаўся агульны энкат: мой, бо набілі; матулін — чаму я такі тупы; бабулін жа нагадваў стогн (яна ўяўлялася мне жывым анёлам дабрыні, я хаваўся за яе, калі пагражала лупцоўка).

Мой прыяцель Жоржык быў усё ж нудою хадзячаю і я, іншы раз, бег у большую кампанію Шамруховых сяброў. Мяне, заіку, на жаль, не надта прымалі яны да сябе, вырабляючы нада мною кепікі. Рос я фізічна непаваротлівым, прытым

каратканогім, няздатным залезці латашыць яблыкi ў садаўнічага або налавiць вераб'ёў у падстрэшках асенніх гумнаў, каб потым шпурляць iмi ў расчыненую фортку Чабановага акна, за якім вечарамi рэзалiся ў карты гулякi, а найспрытней Гаян з Чаркесам.

Аднойчы, гуляючы самаробным самалёцікам на канцавым выгане з крынічкамі прыкмеціў я фурманку свайго барсуковінскага хрышчолага, як сунулася край рова, якім сцякала іржавая вада з колішняга азярышча; уехала сюды з трактовае касцельнай вуліцы, везучы чыстага і не па-нашаму апранутага незнаёмца, чарнявага і з чубастай падстрыжкаю. Я бегма кінуўся папярэдзіць пра гэтае дзіва маці. Яна выйшла за мною спатыкаць — і залямантавала! Так я ўгледзеў роднага татку; з перапуду зашыўся ці не пад ложка, адкуль вывалакалі мяне за калошыны, а я адбіваўся, дзёрся. Насыходзілася сваякоў: гоман, прыгар ад смажанiны, позван чарак. У румянасці клёнаў у перадвосень сорок трэцяга?

Стары паспадзяваўся на ўласны нямецка-беларускі “аўсвайс” ды “урляўбкарту” ў кішэні; нядоўга цешыўся свабодаю, выбралася наведаць яго мясцовая хільфспаліцай з аўчаркаю. Звочыў іх запозна, паспеў адно затаіцца пад тым жа ложкам. Як сённяя бачу валахатага сабарна: рвецца туды, калабарант Чарнецкі не пускае прывязі, гергечучы нешта шэфу, што чарапкаўся з рэвальверам у руцэ з гарышча, дзе быў пазаглядваў у схоўны балаган. Выходзячы, ён пераклаў нам: — Трэба, каб заявіўся ў камендатуры і нічога яму не будзе.

Ага, вер ім.

У тую аблаву — раней у страхотныя рэвізіі — яшчэ не прызнаў дарэшты бацьку. Дайшло да гэтага пасля, калі ён ужо хаваўся ад немцаў і толькі поцемкамі прыходзіў паесці, абмыцца. Я надзвычайна любіў перамалёўваць карцінкі з кніжак; сам азваўся да яго, і то з просьбаю: “Папа, намалой мне пташку”. Ён у адказ як бы прытуліў мяне, моўчкі ўзяў працягнуты яму аловак і, можа быць, упершыню рысаваў,

загаварыўшы пацяплелым голасам: “Ну, мне няма калі”. Устаў, зашпіліў кажух, нырнуў у густую за дзвярыма цемень. Маці не зразумела хвілі: ападыктычная, што ні дзень незадаволеная. Узгадаваная ў настроі тых калябарсуковіцкіх хутароў-калоніяў, на якіх гаспадарылі скінутыя пілсудчыкамі з сёдняў правінцыяльнае кар’еры пострасейскія разначынцы. Беспардонна спугнутыя, нават з цалкам мізэрных пасадаў яны карысталіся ў грамадстве свежай памяццю сваёй важнасці. Дастойныя ў ваколлі, з гімназійнымі атэстатамі, начытаныя, крыху французскамоўныя; у царкоўны фэст шыкоўна балюючыя ў садках ці на верандах у вішнях і півонях, прыводзяць яны цяпер наўспамін палотны Сезана, эфірныя туалеты дам і мадэмузель, выхаванасць масье. Асколкі ад раструшчанае імперыі. Але і кранутыя ў дваццатыя гады ідэяй Беларусі. Ад іх будучая мая мацёрка ўбіла сабе ў галаву слоўца “папá”. Побач з цудакаватым “Сакрат” паслужыла яно мне імунітэтам на чысцейшае... На нядобрае падпанства, лёгкую ў малалетка безумоўную лепшасць.

Арыштавалі ўночы. Расчынілі дзверы ў хлеў, задралі галовы на вышкі і наказалі: “Вылазь, Яновіч, ведаем, што ты тут!” Маці занесла назаўтра каменданту слоік мёду, кумпяк, пірагі. Не аднекваўся. Дазволіў, захабораны, пабачыцца ёй з ім у камеры, і пацешыў: адашлем яго туды, адкуль прыехаў.

Бездаркорна працавала нямецкая машынерыя парадку ды ладу. Дрэздэнскі майстар адчапіўся быў пісаць да нас, куды кануў спраўны яго работнік “Коштусь”... Крымінальны вышук беспраблемна гэта ўдакладніў, маючы справу з прасцецкім, як ні казаць, уцекачом. Бацька, магчыма, не рызыкнуў бы зрабіцца мышкаю паліцэйскаму катў, калі б фабрыкант у Саксоніі, упадабаўшы яго, не надумаў учыніць з гэтага кемлівага ва ўсім беларуса сваім спадчыннікам, бо замест сына Бог спаслаў яму дачку, а гешэфту патрэбны ж мужчынскі розум ды фахманства. У партызаны за недалёкімі ляскамі, таксама, не мог падацца, бо іх пакуль амаль не было, а тыя,

што паяўляліся ў вёсках апоўначы, аказваліся маскалямі або правакатарскімі ўласаўцамі на паслугах беластоцкага гестапа. Зрэшты, наваяваўся, адхацелася карабіна за плячыма і шаблі на баку; нацярпеўся холаду, голаду і вошай. Армія добрая кавалерам і валакітам, але не чалавеку, які ўсур'ёз думае пра сябе і звязаных з ім блізкіх асоб.

Тым часам фронт каціўся назад з бясконцае Расіі. У бульбе за стадолаю небяспечна валяўся пачак афішак, абы-як вываленых уночы з савецкага самалёта, відаць, з таго, што надоечы буяў недзе па-над Чортавым Балотам. Наўзбоч ад азерца Бяздонніца каля Астроўка ўпаў бамбавоз лофтвафэ, падбіты — пляткавалі ў Крынках — над Смаленскам, горадам, наконт якога спрачаліся: за Масквою ён ці перад? У Азяранах і ў Крушынянах юнакі пабралі ў камендатуры вінтоўкі: вартаваць мясцовасць ад рабаўнікоў і партызанскіх саланіннікаў. Шатэнберг паклаў па сабе вушы. Украінская рота, раскватараваная ў пасляжыдоўскай школе, штораз спявала пад п'яны гумар; ніхто не праходзіў па тратуары побач іх, асабліва дзяўчаты і маладзіцы, счуўшы дух раскілзаных жарабцоў. З'явіліся тылавыя вайскова-гаспадарчыя часці. У павятовай Саколцы строілі вермахту паношанья ім у акопах чаравікі (што і збавіла майго татулю ад адпраўкі над Эльбу). Дазналіся мы, нарэшце, калі маюцца весці яго туды, на станцыю, трыццаць кіламетраў; начэкавалі. Імгненне назаўжды — зарослы, бы злачынец, з позванам кайданоў, у этапе арыштантаў; маці утрупянелая; бабуля з перадачаю вязню прарываецца між сабак і паліцаў, ёй ужо ўсё роўна... А ў святую няздэльку вярнуўся ён, як з таго свету, змардаваны, але яснеючы шчаслівацю ўваччу. І з навінаю: “У Саколцы паставілі старажаваць нас аднаго паляка. Цераз яго я і дастаўся ў прыфрантавую майстэрню; бралі шаўцоў, азначылі кожнаму дарэмшчынныя нормы і свабодныя суткі за дабрахуткае выкананне. Ахвотна ўзялі мяне, бо спатрэбіўся ім нехта з нямецкай моваю і каб умеў растлумачыць іншым работу на фабрычных машынах”.

Зніштажаюць вучаных або палітыканаў, а фаховістых — не. Куродымам снаваўся культ стала і кашалька. Мяне паслалі прывучвацца сяк-так чытаць і пісаць па-польску, бо цішком стала вядома, што Сталін дамовіўся з Англіяй і Амерыкай... вярнуць Крынкі пад Польшчу! Урокі адбываліся потайна ў сінім доме пані, апошнім злева, не даходзячы да мастка за Кузьмоваю мураванкай. Столькі пакаёвых кветак, як у яе, я дагэтуль не бачыў. Узвычайлі мяне за адным махам і разбувацца ў перадпакоі, мець свае тэпці на ногі. Гэта быў процілеглы майму свет. І таму, калі ўзімку на сорок чацверты выявілася канкурэнтная школка ў хаце Монькі ля той жа Гродзенскай, вуліцы крынкаўскай інтэлігенцыі, я выенчыў у бацькоў перанакіраванне мяне туды менавіта. Ад сяброў даведаўся, што тамака вальней і без панства.

Падпольнае навучанне магло закончыцца куляю ў лоб яго ініцыятару, а бацькам вучняў прымусовымі работамі, у лепшым выпадку руйнуючым захаборваннем жандара. У тую пару, аднак, акупанты неяк мякчэлі... Дзятве казытліва спадабалася насіцца з тайніцаю; дзяўчынкі і хлопчыкі гулялі бандкамі, шышыкаючы. У самотнае Монькі сталі на кватэру два расіякі. Смешна ламаліся ім языкі над знесенымі намі беларускімі падручнікамі з абачліва павырыванымі партрэтамі “сталінкаў”, розных камісараў з медалямі ў рад, бы святыя на іканастасе. У тым, што хвацкіх маладзёнаў падаслалі ў мястэчка дзеля здабычы харчоў у лес, цікаўліва здагадваліся нават мы, смургелі сямігадовыя; выдавала іх не наша мова, нетутэйшыя норавы, паводзіны, што проста скураю адчувалася: мешаніна бяздомнага бесклапоцця, гультаяватай весялосці, абьякавасці да адзення, неакуратнасці побыту. Польшка, было, ставіла і двойку ў кае; савецюкі ж ні трохі не шкадавалі пяцёрак, і то з кропкамі! Пахваліўшыся гэтым у хаце, я з крыўдай прыкмячаў, як старыя горка ўсміхаліся, кажучы: “Якія яны вучыцелі, смаркатню разбэсцяць!”

Не было завельмі спадзяванняў на паляпшэнне будучага. Немец і савет аднае галіны вартыя. Адзін страляе, другі вывозіць у Сібір на марознае кананне. І той, і той за абы-што! Англія з Амерыкай далёка за морам і нашто ім патрэбна наша гора?! Армія Краёвая паўстае супроць Гітлера і Сталіна, ну, як гэта палякі, скачуць на сваю пагібель. Беларусам заставаўся інстынкт самазахавання, дбайнасць пра поўную кішку і кажух на плечы. У абцугах двух моцных даводзілася, бы мышам у норах, калі над імі клубуюць кот з кошкаю... У ранішняю роснасць грымела ад Ваўкавыска артылерыйскімі залпамі. Злосныя, як шэршні, кубанскія і донскія казакі выкошвалі злённыя аўсы на фураж сваім верхавікам. Іх нецярплівыя, порсткія характарам жанкі матлашылі загуменныя агароды, распальваючы агнішчы ў абваленыя ямах на бульбу пад Глінішчам на Доўгім выгане. Франтавая каманда на чале з буславатым афіцэрам абвясціла мабілізацыю дарослага насельніцтва на капанне траншэяў у семяноўскіх горках. Пайшлі адны кабеты, пабраўшы рыдлёўкі і сухі харч з бутэлькаю малака або калодзежнае вадзіцы; мужчыны шмыганулі з дзецярнёю ў каменныя скляпы, парослыя малінамі і заслоненыя буяючым чорным бэзам. Няшмат накапаліся: бравурныя аўтаматчыкі абыходзілі вермахтаўцаў у фланк, пастрэльваючы ўжо з надрэчных зарасляў ля падкрынкаўскіх старых млыноў. Немец гыркнуў: “цурык, фраў!”, шлёнскі яго перакладчык раздаў ім талоны на кіло цукру, якія рэалізаваў у мястэчку гефрэйтар як клапаўшчык прадуктовых запасаў. Калі каторая пырскала перад ім слязьмі, што сямейка аслабела ад сахарыны, падсоўваў такой дадатковую ўпакоўку, прымаўляючы: “Бер, бабо”.

Маці з бацькам падзяліліся ролямі на час пераходу фронту: яна, узяўшы мяне за руку з сабою, уцякла да сваіх братоў у падлессі, пакінуўшы яго з цешчай даглядаць сядзібу. Да Барсуковіны вайна яшчэ не наблізілася. Аднак, не чакаючы, запраглі там буланага ў воз з раскладзінамі, навыносілі пасцелі і

хатулёў ды, прывязаўшы да клінцаў дойныя каровы, парыпаліся няспешна за Барсуковую гару, наўзбоч ад леснічанскага Сасновіка, на пясчаны груд каля трансваў Чортавае Хаты. Устаялася спякотнае пагоддзе і я не быў супроць таго, каб пабыць у тых будах, уккрытых яловымі лапкамі, да самога сканчэння жніўнае гарачкі. Хоць ты качайся ў чарніцах, да адрывкі аб'ядайся пахкімі малінамі, варочай на цыганскай патэльні смажаніну з грыбоў, выцягвай з-пад камянёў у рачулцы слізкіх мянтузікаў; рай першабытнаму чалавекападобенцу, калі сонца грэе проста ў цемя (камароў адганяла ў спанне дзэгцевае мазь, злёгка нашмараваная на твар і шыю, якую змывалі ў рань халодным глеем з прыбярэжнага дна). Варочаліся з абходу ваколіцы дзядзькі, паведамляючы, што нямецкія ўкраінцы паляць Астравы, чыняць збыткі над сялянкамі, вывальваюць з куфраў дабро, забіраюць гаспадароў з фурманкамі ў адступаючы абоз. У залацісты захад бзыкнула ля вушэй чмялём блуклівая куля і засела пад карою таўшчэзнае сасновае крывулі. Аднекуль вынырнуў на закусцелы лужок конны патруль, быццам апісанья ў кніжках крыжакі ў даўніну, што валачыліся ў пошуках нехрыстаў... Займалі быдла, далучаючы да вярстовага статку на Талькоўшчанскім гасцінцы на Беласток, у армейскія бойні. І, як на заказ, засакатала ў багонніку руская пэпэша, не ў жарт упалохаўшы рэквізітараў: зніклі нам з відавоку шпарчэй, чым мы паспелі і словам абмовіцца. Агонь дзеля ежы палілі ў полудзень, нясмольным сухападам паміж угусцельмі ялінамі, каб дым не валіў слупам увысь. Запрыходзілі да нашае стаянкі чуйныя партызаны. Цёткі частавалі няпрошаных гасцей нагрэтаю стравай і смятаністым сырадом. Ім прыеліся рыбныя кансервы, якімі падкормлівала сваіх дыверсантаў база на “вялікай зямлі”. Паласаваўся баначкай селядцоў і я, ад незвычайнасці першасмаку якое ўсё спадзяваўся наступнае, але камісар у скураной куртцы і з чырвонай зоркаю на круглай шапцы, абдоруўшы мяне, чамусьці больш не павяўся.

Крынкам нядобра шанцавала на ўсходні мілітарызм. Дастаткова было з'явіцца тут расейскамоўнай уладзе, як адразу за ёю ішлі калісьці белакашулістыя батальёны, потым бальшавіцкія садысты, за трэцім заходам напрыезджала танкаў і насядала на польнай роўнядзі баявых самалёціскаў. Так і цяпер, калі нямчурны драпалі ад Івана без аглядкі ў свой Берлін. За дваровымі ліпамі, што памяталі Кацярыну II, пыльна прызямліліся транспартныя “дуглясы”; цішэў рой “істрабіцеляў”, раз'язджаючыся, задраўшы хвасты, пад рахавіцкі фальварак і могліцы астраўлянаў. У былой прышаркоўнай за царом школе асталася сталаўка для лётчыкаў, а іх саміх — зграбных і залётных — рассялілі ў абавязкова нятлумныя сем'і. Так складалася, што найпераважна да маладых удоваў або салдатак, што мела свой дзівосны скутак. Калі эскадрылля падымалася з аэрадрома ў паветра ляцець бамбіць Варшаву або Кёнігсберг, перш паварочвала на мястэчка, разлятаючыся над ім хто куды. Ад нізкага рыку матораў адпадаў кіт на шыбах, бабуся Палося кленчыла пад іконаю Маці Божай, багаючы яе аб мір на зямлі, а мы, малюта з усяе вуліцы, пазнавалі, з чьёй хаты герой пікуе ў тое падворышча, мала не чапіўшы коламі комін. Суседзі выбачалі ім гэта, бо не заўсёды зліталіся яны з-над Нямеччыны назад цэлай кампаніяй. Паступова абнаўляўся персанал не толькі ў выніку ваенных стратаў; закаханых, што наважыліся жаніцца з мясцовымі, пераводзілі ў аддаленыя палкі. Аднаму такому не дазволілі нават развітацца з гаспадынькай з Надрэчнай, дык ён усё роўна пакружыў буслам над яе сялібаю, накідаўшы ёй на аселіцу пакункаў з размаітым дарагім нямецкім барахлом і амерыканскімі прысмакамі з інтэндантуры.

Я без памяці любіў Сашу з Масквы! А ён — Тасю з Астроўка, кравецкую вучаніцу маёй маці. Карыстаючыся ягонаю занятасцю дзяўчынай, я кранаў аўтамат пад сцяною, расшпільваў кабуру ў рамянях на вешалцы, разглядаў круглясты гадзіннік з фасфарызуючымі лічбамі, бяготкімі

стрэлкамі. Адноўчы схадзіў з ім да яго самалёта і пасядзеў у кабіне, што ўпаўнаважыла мяне, нарэшце, зрабіцца роўным з Шамрухамі.

На нястачу амуніцыі хеўра не наракала. Беспамылкова апазнавалі ленты з разрыўнымі і запальнымі вярхамі (сінія, чырвоныя). Цанілі проціпаветраныя патроны. Шарпалі адзін аднаму адзенне за першынства да намацанага ў зеллішчы ля разбітае гарматы снарада. Рвалі ў полімі, наносіўшы на знаходку хворасту (так разнесла ў кавалкі Ляра і нашцігавала асколкамі большага Галяка, што пас кароў з Плянтанскай). Не ўдаваліся пакражы ў аэрадромных арсеналах, надта ж пільнавалі нейкія манголы. Страшныя: — Гранат в жоп, бэнзін в рот, огонь в живот, будэт тэбэ взрыв, говно в нэбэса, вон дурак!

Заядла стругаў я з бярозавага палення разнатыпныя бамбавозы і знішчальнікі. Шавецкія нажы з бацькавага варштата рэзалі, як брытва! Ад гэтага захаплення лётніцтвам нашу познатак на левым калене — распаласаваў незнарокам цела да белае косці. Гэта мяне астудзіла і я пашукаў сабе супакаення на гарышчы з таямнічым трымценнем павуціння. Бескантрольна шныпарыў, да суполкі з катом Мурыкам (выпуджваў яму мышэй з-пад упыленых ламачавінаў). Маімі ж ласункамі лічыліся варэнні ў збанках, мёд у верцешчы, пахоткія антонаўкі ў кувэрку; у гэтым захаванку наткнуўся я на апетычныя, бы дзве цаглінкі халвы, кніжыскі. На вокладках серабрыстыя, што бабульчыны рублі, надпісы “Пушкін”, “Лермонтов”. Пагартаў, фатаграфіі паноў і паняў, грудзістых генералаў, цароў і царанятаў; вершы, нібы па-нашаму і не. Ажно жудасць браць, як жыдоўскія якія, абыходжаныя бокам у апустошанай бажніцы, следам за дарослымі (малаткамі абстуквалі сцены, ці не пачуецца глухі водгук рабінскага скарбу). Загадка прыцягвае. Варочаў я тыя фаліянты ад пачатку і ад канца, не зводзячы слыху з погаласаў жывёлы, цокату падковаў па бруку, вэрхалу ў задворках. Каб матка не заспела! Найсмачнейшае тое, што забароненае, — перажоўваў кабалістычныя мне

фразы, пранікаючыся неспасціглым аніяк значэннем іх. Учываўся і ў надрукавання пісьмы велікапанскага Аляксандра Сяргеевіча. Параўноўваючы да папіных — не знаходзіў пра галечу ў доме паэта, пра недасягальныя валёнкі на Каляду і прыжменькі пазычанае мукі на Вялікдзень... Дай Бог, ага, Яновічам Санкт-пецярбургскія недаедкі! Вёска ў баярскіх песнях, як у Юр’еў дзень. І праца ў ёй гулянкаю. Калі я наважыўся дэкламаваць бацьку завучанья тья “сцішкі”, ён быў паслухаў іх трохі, нарыхтоўваючы капылы дзеля новай пары, і нацягваючы паценгамі вярхі на іх натужліва адсек: “Што Пушкін твой знае пра жыццё? Ідзі во, лепш, памажы маме бульбы натаўчы свінням!” Перабраўся я з паэзіяй да бабусі, але яна засынала ад яе, апраўдваючыся: “А ці карысьць якая людзям была ад таго Аляксандра?” Гнявіла іх мая чуласць на прыгажосць прыроды. Спатрэбілася паўжыцця ў вялікагарадскім асяроддзі, каб уцяміць сабе, чаму гэта так. Парынаючы носам за плугам, знемагаючыся ў касавіцу, поўзаючы па барознах у капанне бульбы, не знаходзячы сабе месца ад стомы пасля выездаў у завейны лес па дровы, намалаціўшыся ў два цапы на таку, — акружаючае можна было толькі перамагаць, упарта і бязлітасна, замест легкадумна мілаваць. Лірыка ў чалавеку запацелае да гаркаты на губах працы такая самая рэдкасьць, як дабро ў катаржніка.

Дарэчы, на чытанкі не завельмі хапала свабоднейшых хвілінаў. З’яўляліся брацік за брацікам. Першы, Валодзік, памёр, так і не стаўшы на ножкі; худзенькае небажчана пахавалі каля дзеда Паўла (клічучы карміцеля радзіны на абед, убачылі яго мёртвым на падарожным куфэрку, які збіў ён у сваёй сталяроўні майму будучаму бацьку, рэкруту ў сувальскі гарнізон).

Дзіця ўдачнае, у рэшце рэшт не хваруль, нарадзілася ў лютым сорака пятага. У сувязі з тым прыкра перагаварылі між сабою нявестка з цешчаю, якая настойвала на паўтор нядаўняга паніхіднага імя. У неладзе ўвайшоў я, прапануючы ахрысціць

немаўля Сашам, вядома, дэкларуючы ўзамен калыхаць яго штодзень. Маленькі неўзабаўку абрыд мне, ясная справа, Сашунчык стаўся Сашуном або і Сашуніскам.

Заклапочанасці прыбывала і са школаю, але гэта ўжо іншая гісторыя, на асобную аповесць. Мімаходзь згадваю пра яе таму, што адзін год навучалі ў ёй па-беларуску, пакуль па рынку паходжаў з пагонамі старшага лейтэнанта камендант горада, а выганы вакол Крынак заставілі фургонамі савецкай арміі, што варочалася з ваеннымі трафеемі цераз устаноўленую на шашы ў Гродна граніцу, зараз за прысадамі магістрацкага пісара Камароўскага і партыйнага арганізатара Анісімовіча, з якімі круціў іхны сусед Звярынскі, крамнік, АКоўскі падпольнік. Салдатня распрадавалася за бесцань; за паўбуханкі чорнага хлеба Патэж набыў фуражку і нашыў сабе на плечукі латанай кашулі маёрскія адзнакі; Ліс з Чаркесам шпанілі з адным на двух ручным гадзіннікам, статут карыстання якім абмяжоўваўся фактычна да нешматслоўнага артыкула: “Дай цяпер мне панасіць”. Як заўсёды, пераплінулі хаўруснікаў Шамрухі, але яны не забавляліся ў куплю, а падседжвалі нагледжанае ў сакважках распяваных ардэнаносцаў. Мелі ж прытым не абьякі аргумент, бутэльку самагонкі, якую гналі тады нават бабы. Нашы верхаводы заблішчэлі ў адзін адвячорак на Сакольскай — ад безлічы медалёў, ад барады па пуп, падпярэзаныя юхтовымі рамянямі з бляшанымі літарамі “Гот міт унс”, на якіх шапацелі парожнія і сухаватыя ад неначышчанасці кабуры. Ну, на сярэдзіну вуліцы яны не паказваліся, а ўсё хваліліся, пастаўшы за штыкетнікам, каб сябры не абабралі ў зайздрослівым натоўпіку. Упрошвалі іх. “За Сталіна прынясу я табе кашыска агуркоў!” — прынаджваў я і ў адказ глытаў слёзна ганьбу пабачыць перад носам рагатлівую дулю. Усё багацце спеючых загонаў ды сліваў з грушамі і яблынямі магло апынуцца ў іхным свіронку. Не ўступалі, што давяло да непрадбачанага нікім рэзультату: хеўра назаўсёды распалася. Зрэшты, спакваля выветрывалася з нас

дзіячасць, заўчасна сталелі мы ў нежартоўных умовах пасляваення.

У апошні акорд прамінанню дзяцінства ўсплыў ва ўяўленне абразок з неспазнанымі мною жыдамі, якіх немцы вывозілі на сялянскіх вазах у Кілбасіну ля Нёмана. Да рушыўшага даўжэзнага абозу даб'ягаў ззаду старэча з мяшэчкам за плячыма, а паліцай паганяў яго кіем, шпарачы з-за вуха. Калі заганялі іх яшчэ ў гета, загароджанае глухім парканам з калчочым дротам паверх, не хапіла ў мяне памяці, каб захаваць на век які-колечы твар. Шаўцы і штэпарнікі падлазілі начамі да іх абменьваць прадукты на падэшву і хром; вартавыя гарлапанілі “хальт!” і стралялі як чучцё ім падказвала. Цугуючаму ў ветраную пахмурнасць бацьку пацэлілі з паўкіламетра ад Касцельнае ў тоўсты гумовы абцас, ажно бразнуўся ён перадам на масток да Скроўбаў, што ўбудаваліся побач, над камяністаю Крынкаю. Ад свісцячага ўдару распухла яму пята, што было глупствам.

Ці марылі ў нас пра шчасце, не ведаю. Не даю рады ўспомніць. Нешта падобнае на гэта, несумненна, бадзялася ў людскіх сэрцах. Недалюблівалі палякаў яксьці па-феадальнаму, але разам з тым адчувалася, што з-за нерэальнасці стацца імі напраўду. Расіянства ж перастала захапляць па прычыне калхозаў, гальшчыбы, Сібіры. А натруджанасць, акрамя як беларуская, не бывала. Тры стэрэатыпы, бы ў першабытнасць сваю посмак бруістага здрою, цвілое скарынкі, лыжкі заціркі.

У палове вёсен да маладосці — выйсця ў гарадскі пейзаж Беластока — паспытаў я пакрысе ўсякага светабачання: беларускага і расейскага, польскага і нямецкага, і з жыдоўскім судакрануўся; даляталі почуты пра крушынянскіх татароў. З калатнечы ў прысутнасць Нямецчыны ў нас не вынес набрынялых сінякоў. Акупацыйныя сполахі мільгалі па-за маёй свядомасцю, глядзеў я на іх абыякавым зрокам, што ёсць нармальнае ў малога. Калі чаго пужаўся, дык не сілаю пачуццяў, якіх у малалецтве няма, а інстынктам самазахавання. Дзіця існуе — пераважна — жыватом. Зрэчас прачынаюцца ў

ім сентыменты, але ўсё роўна да чалавека яму яшчэ надта далёка. Пачынаеш быць ім у чатырнаццаць — шаснаццаць. У даспяванні. У першае каханне. Ад тых жа гадоў жыццяпіс не рвецца на секвенцы, не балаганіцца выпадковым калейдаскопам.

КАМУНІКАТ.ORG

SPIS TREŚCI

Terra incognita	5
Białoruś i Polska — małżeństwo z rozsądku	20
Przez cztery konfesje	45
Moja mała ojczyzna	61
З былога	73